

Rok XXXIII

Nr e-148 (344)

Luty 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Nowa wieża na Trójgarbie	Krzysztof Tęcza	3
Ponownie o nieporozumieniach terenowo-nazewniczych w Karkonoszach	Jerzy K. Bieńkowski	6
Pomnik z okresu Wielkiej Wojny w Stanisławowie	Krzysztof Tęcza	9

OJCZYSTE SZLAKI

Historia niezwykłego zamku.	Marta Golembiewska	11
----------------------------------	--------------------------	----

TRASA MIESIĄCA

Wstęp do Beskidu Wyspowego.	Juliusz Wyślouch	16
Kilka słów o Szczecblu.	Juliusz Wyślouch	18

EKOLOGIA NA SZLAKU

Gość z antypodów.	Juliusz Wyślouch	20
------------------------	------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Turystyka narciarska... Dobry przewodnik to też poradnik	Juliusz Wyślouch	21
--	------------------------	----

GLOBTROTER

A w górze – Swanecja!	Mirosław J. Barański	23
-----------------------------	----------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Jubileusz 90-lecia Ligi Ochrony Przyrody	Krzysztof Tęcza	26
Posiedzenie Delegatury Sudeckiej w Wałbrzychu	Krzysztof Tęcza	27
Przewodnicy sudeccy w podziemiach jeleniogórskich.	Krzysztof Tęcza	28

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Skoczek na sznurku.	Ryszard M. Remiszewski	31
Jan Czerski	Janusz Fuksa	33

U KRESU WĘDRÓWKI

Janusz Czerwiński (1936–2018).	Witold Komorowski	35
-------------------------------------	-------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Szczawnica na starych fotografiach i rycinach.	Ryszard M. Remiszewski	37
Po co komu taka mapa?	Tomasz Kowalik	38

LISTY, OPINIE, POLEMIKI

Zaśpiewaj sobie na ławeczce	Tomasz Kowalik	39
-----------------------------------	----------------------	----

Na okładce: W górę doliny Czalaati (Górna Swanecja w Gruzji). Fot. Mirosław J. Barański

Nowa wieża na Trójgarbie

Trójgarb posiadający trzy wierzchołki o wysokościach 757, 778 i 738 metrów n.p.m. jest widoczny z daleka. Nie sposób pomylić go z sąsiednimi wzniesieniami. Swoim kształtem przyciągał turystów, a także kuracjuszy przebywających w Szczawnie Zdroju. Nic zatem dziwnego, że rozpoczęto realizować na nim inwestycje związane z turystyką. W 1882 roku na najwyższym wierzchołku wzniesiono drewnianą wieżę widokową oraz parterowe schronisko, które z dzisiejszej perspektywy trzeba nazwać bufetem. Obie budowle sfinansował Martin Engler, właściciel restauracji „Złota Kotwica” w Starych Bogaczowicach. Przez wiele lat obiekty te cieszyły przybywających na Trójgarb. Niestety po II wojnie światowej oba rozebrano.

W latach późniejszych wzniesiono wieżę triangulacyjną, która także nie dotrwała do dzisiejszych czasów. Jeszcze do niedawna istniało tam coś w rodzaju niewielkiego szałas, w którym można było się schronić w razie niepogody. Dzisiaj w tym miejscu stoi wybudowana nowa wieża widokowa. Tym razem do jej budowy wykorzystano stalowe rury. Całość zaprojektowano tak, by obiekt oparł się wiejącym tu wiatrom.

Wieżę zaprojektowano na rzucie trójkąta i posadowiono na żelbetowej płycie o grubości 1 metra. Wokół wewnętrznej konstrukcji rurowej wykonano schody wzmocnione rurami zewnętrznymi. Całość mierzy ponad 27 metrów. Na wieży wykonano pięć tarasów widokowych rozmieszczonych na wysokościach od 17 do 23 metrów nad fundamentem. Z tym, że schody i cztery z pięciu tarasów wyłożono ryflowanymi deskami modrzewiowymi, natomiast jeden taras został wyłożony stalowymi kratownicami, które pozwalają poczuć wysokość. Gdy stoi się na nich, widać, co dzieje się pod nami.



Może nie jest to tak odczuwalne jak na wieżach, na których użyto lin, ale gdy zawieje wiatr i wieża zacznie się kołysać – zapewniam, że poczujemy i wysokość, i niepokój. Aby umożliwić korzystanie z wieży po zmroku, na zadaszeniu umieszczono lampy zasilane ogniwami fotowoltaicznymi.

Projekt architektoniczny wieży wykonano w Grupie Projektowej ISBA z Wrocławia. Projektantem była mgr inż. architekt Joanna Styrylska,



a konstrukcję wyliczył mgr inż. Piotr Jordan. Obiekt na Trójgarbie postawiła Firma „Tatry” Janusza Kluzowicza z Myślenic. Jest to firma specjalizująca się w tego typu inwestycjach, która wykonała już kilkanaście podobnych obiektów.

Wieża powstała dzięki współpracy i wsparciu finansowemu trzech gmin: Czarny Bór, Stare Bogaczowice i Szczawno Zdrój, dlatego też rzuty platform widokowych mają kształt trójkątów. Ze względu na ostatnie podwyżki cen wykonawców nie udało się doprowadzić tej inwestycji do końca, gdyby nie dotacja z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego. Nie bez znaczenia było też pozytywne nastawienie Nadleśnictwa Wałbrzych do inwestycji. Ostatnim z partnerów jest Fundacja Edukacji Europejskiej w Wałbrzychu. Całość została zrealizowana w ramach projektu „Ekomuzeum wokół Trójgarbu – etap II – sposób na ochronę i udostępnianie zasobów przyrodniczych masywu Trójgarbu i Chełmca” współfinansowanego ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Dolnośląskiego na lata 2014–2020. Wartość ogólna projektu to 2.687.900 złotych, z czego dofinansowanie wynosiło 1.877.000 złotych (jak łatwo policzyć, to prawie 70 %).

Wspomniany projekt obejmuje, poza budową wieży widokowej, montaż małej architektury turystycznej, wiat turystycznych ze stołami i ławkami, kierunkowskazów, stojaków na rowery czy wreszcie koszy na śmieci. Oczy-

wiście będą realizowane także działania edukacyjne i wykorzystujące nowoczesną technologię, skierowane do uczniów szkół gmin partnerskich.

Wracając do samej uroczystości otwarcia wieży widokowej na Trójgarbie, zaplanowano ją na samo południe mając nadzieję, że do tej pory dotrą wszyscy chętni do wzięcia w niej udziału. Zainteresowani schodzili się prawie do zmierzchu, niemniej przecięcie wstęgi nastąpiło tak, jak zaplanowano. Najpierw jednak krótką modlitwę odmówił proboszcz z Witkowa Śląskiego Piotr Sałaga. Dokonał stosownego pokropienia świeconą wodą, ale także pobłogosławił wszystkich przybyłych. Następnie odsłonięto płytę upamiętniającą 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę.

Przebiegi wstęgi dokonali: Adam Górecki (wójt Gminy Czar-ny Bór – lidera projektu), Mirosław Lech (wójt Gminy Stare Bogaczewice), Marek Fedoruk (burmistrz Szczawna Zdroju), Marek Nogawka (zastępca nadleśniczego Nadleśnictwa Wałbrzych), Izabela Mrzygłocka (poseł na Sejm RP), Agnieszka Kołacz-Leszczyńska (poseł na Sejm RP), Kamil Zieliński (wicewojewoda dolnośląski), Joanna Styrylska (Grupa Projektowa ISBA), Robert Kubiak (firma „Tatry” z Myślenic).



Wieża została otwarta i prze-testowana. Liczba osób, które weszły na tarasy widokowe przekroczyła planowaną, jednak wieża wytrzymała. Zatem można śmiało stwierdzić, że zarówno projektanci, jak i wykonawcy zdali egzamin.

Na uroczystości otwarcia wieży było obecnych około pół tysiąca osób. Nigdy do tej pory na Trójgarbie nie było takiego tłoku. Mimo tego i mimo złych warunków atmosferycznych – przede wszystkim mgły uniemożliwiającej zobaczenie rozległych widoków, jakie normalnie tam się widzi – wszyscy byli bardzo zadowoleni. Radowali się z samego faktu powstania wieży, bo może to początek przyszłych inwestycji na tej górze, radowali się także z przyjęcia, jakie zgotowali im organizatorzy imprezy. W krótkim czasie rozdano 400 kiełbas, dziesiątki litrów gorącej zupy, barszczu i grzanego wina. Zabawa była przednia.

Dla nas, jako turystów, było to bardzo ważne wydarzenie, ale także okazja do spotkania z działaczami poszczególnych oddziałów PTTK z całego Dolnego Śląska. Nieczęsto zdarza się nam spotykać w jednym miejscu tyle koleżanek i kolegów. Przybył także prezes ZG PTTK Jacek Potocki.

Dodam tylko, że oficjalne otwarcie wieży i jej udostępnienie turystom miało miejsce 29 grudnia 2018 roku.

Krzysztof Tęcza

XIX Spotkanie Śladowe Jaworki 2019

Kolejne, **XIX Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”** odbędzie się w **Jaworkach, od czwartku 28 lutego do niedzieli 3 marca 2019 roku**. Spotkanie zostało wpisane do kalendarza wydarzeń narciarskich KTN ZG PTTK (link poniżej). Bazą będzie gościnny obiekt państwa Waligórow przy ul. Czarna Woda 53, znany już uczestnikom Spotkania w roku 2013. Gospodarze zmodernizowali budynek i obejście. Uczestnicy będą mieli do dyspozycji 30 miejsc w pokojach 2-, 3-, 4- i 6-osobowych z łazienkami. Na każdym piętrze znajduje się aneks kuchenny. Noclegi w cenie 35 zł (sezon zimowy) + 2 zł opłaty klimatycznej. Jest możliwość zamówienia śniadań (9 zł) i obiadokolacji (18 zł), jak poprzednio. Wstępna rezerwacja noclegów dla 30 uczestników została już dokonana. W pobliżu znajduje się ośrodek narciarski z wyciągami, ale przede wszystkim fantastyczne tereny dla turystyki narciarskiej – łagodne, bezleśne zbocza Małych Pienin, drogi w dolinach i wygodne stokówki w Masywie Radziejowej w Beskidzie Sądeckim. **Głównym punktem programu będzie sobotni wypad na Przehybę. Ze schroniska zjazd do Szczawnicy i powrót busem do Jaworek.** Miejsce Spotkania wybrano ze względu na łatwy dostęp. Jaworki mają dogodny dojazd autobusowy z Nowego Targu przez Szczawnicę, na przybyłych samochodami czeka bezpłatny parking w obejściu.

Zgłoszenia przyjmuje organizator: Juliusz Wysłouch, tel. kom. 517-222-664 lub julo.tela@pro.onet.pl – **do 15 stycznia**, im szybciej, tym lepiej. Przypominam, że Spotkanie ma charakter towarzysko-turystyczny i każdy bierze udział na własną odpowiedzialność. Link do kalendarza imprez narciarskich awizowanych przez KTG ZG PTTK: <http://www.zima.pttk.pl/index.php/zima/strony/ktn-imprezy>

Ponownie o nieporozumieniach terenowo-nazewniczych w Karkonoszach

W 2017 r. opublikowałem na łamach wrześniowego numeru NS e-132 artykuł o podobnym tytule. Od tego czasu zdarzyłem się z szeregiem innych dziwołagów, nie tylko nazewniczych, o czym chcę napisać.

BORÓWCZANE SKAŁY

Skąły wypiętrzone na Szerokim Grzbiecie pomiędzy Suchą Kochlą na wschodzie a Górną Kochlą i Tocznią Kochlą na zachodzie. Wznoszą się nad prawym brzegiem Górnej Kochli. Nazwę derywowano od apelatywu słowa borówka (*Vaccinium*), dawniej borowica. Pojawiła się w 1958 r. na mapie „Karkonosze” PPWK i jest dziełem T. Stecia. Skoro jednak utworzono ją od apelatywu *borówka*, to dlaczego nie Borówkowe lub Borowicowe, tylko Borówczane Skały („Wielki słownik ortograficzny języka polskiego” A. Markowskiego, str. 53)? Borówczane byłyby wówczas, gdyby pochodziły od innego obiektu topograficznego mającego w nazwie borówkę np. Borówkowa Góra czy Borówkowa Woda. W najbliższej okolicy nic takiego nie ma! Z błędem Stecia czujemy się jednak dobrze i nikomu to specjalnie nie przeszkadza. Ciekawe są również nazwy niemieckie, które częściej występują w formie Bräuerhansens Steine lub rzadziej jako Bräuerhausenssteine. Ta druga wersja oznacza po prostu Browarowe Skały. Wersja pierwsza (Piwowar Hansen) jest przypuszczalnie związana z dr. Emilem Christianem Hansenem odkrywcą drożdży dolnej fermentacji, co zrewolucjonizowało światowy przemysł browarniczy. Był to duński botanik i mikrobiolog, syn założyciela słynnej firmy Carlsberg.

CZOŁO

Metaforyczna nazwa krańcowego wschodniego szczytu Kowarskiego Grzbiecia oraz dwuwierchołkowej najwyższej góry Przedgórze Karkonoszy nad Przełęczą pod Czołem w Karpaczu Górnym. Wyłącznie karpacka góra nosiła niemiecką nazwę Stirnberg, co uzasadniało polską adaptację. Nazwa w Kowarskim Grzbiecie jest fanaberią KUNM i oczywistym duplikatem. Używanie



Krostki na szczycie Czoła nad Karpaczem Górnym



Przywodna (Głazisko) od zachodu

identycznej nazwy w mezoregionie dla obiektów topograficznych tego samego rodzaju jest ewidentnym zachwaszczaniem nazewnictwa. Ręce opadają, kiedy sprawcą jest komisja stojąca rzekomo na straży prawidłowości nazewnictwa. Obie nazwy mają oczywiście charakter urzędowy! Bardziej pomysłowi okazali się Cze-si, którzy graniczne wzniesienie nad Przełęczą Okraj nazwali Čele od čelo – czoło. Wyrażenie występuje również w języku polskim: naczelny, na czele, naczelnik. Co przeszkadzało, aby szczyt nazwać formą staropolską Czele, albo zdrobniale Czółko?

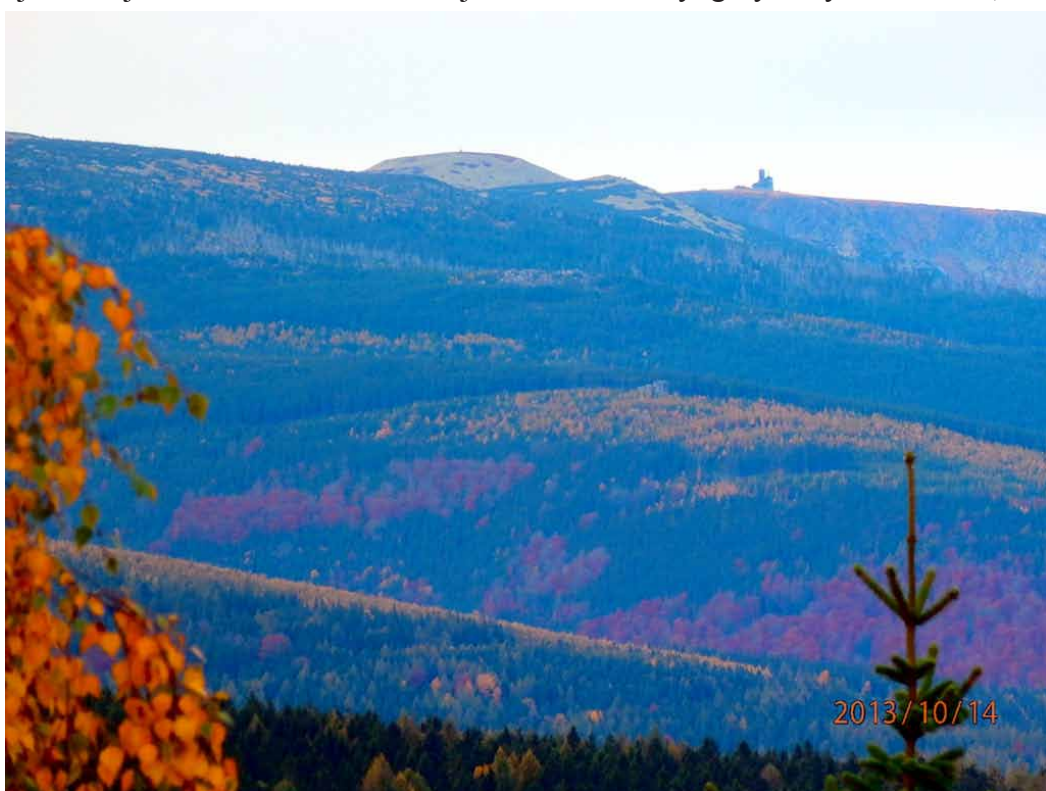
GLAZISKO

Skały wyrastające z dna doliny Wrzosówki na prawym brzegu potoku u podnóża góry Żar na jej północno-zachodnim zboczu. Nazwa potoczna ponowiona ze Szklarskiej Poręby Górnej. Kopiowanie nazw bez większej refleksji jest prawdziwym utrapieniem dolnośląskiego krajoznawstwa, tym bardziej, że autor zawsze pozostaje anonimowy, jako znajomy królika. Bezsens tej nazwy polega na tym, że w toponimii glazisko to *miejsce po glazie*, o czym zaświadcza sufix -sko. Tymczasem skały nad Wrzosówką nie mają nic wspólnego z glazami. Do XVI w. glaz oznaczał szklany paciorek lub krzemień (że niby taki gładki!). Dopiero od XVIII w. utrwaliło się dzisiejsze znaczenie jako *kamień krągły*. Ta absurdałna nazwa potoczna musi być zmieniona! Proponuję najprostszą z możliwych – **Przywodna!**

GRZYBOWIEC

Szczyt na Przedgórzu Karkonoszy pomiędzy Michałowicami a Jagniątkowem. Nazwa urzędowa ponowiona z Tatr Zachodnich. Zbocze góry okrąża od południa szlak zielony przez **Skalne Siodło**. Całe zbocze powyżej, a zwłaszcza poniżej szlaku jest usiane skałkami różnej wielkości. Szczyt góry o wysokości 750,4 m

wyrasta na północnym wschodzie, powyżej siodła, w odległości 110 m, co pokazuje mapa GUGiK w skali 1:10 000 „Piechowice – Jagniątków” M-33-44-C-a-c z 1998 r. W odległości 280 m na północnym wschodzie od Grzybowca mapa lokalizuje kolejny szczyt o wysokości 752,9 m pełniący rolę zwornika, który przed kilku laty razem z K.R. Mazurskim nazwałem ostrzegawczo **Wyższą Górą**. Autorzy niemieccy (T. Grieben 1860 r.) zwali wierzchołek *Im Pole* (w biegunie!), co wyraźnie podkreśla jego zwornikowy charakter. I tak jest w rzeczywistości! Tymczasem TK-M arkusz „Schreiberhau” mylnie pokazuje, że od Grzybowca (*Matzlerberg*) grzbiet opada na północny wschód, co jest oczywistym błędem. To jest właśnie źródłem całego nieporozumienia. Mimo że GUGiK na wymienionej mapie napis *Grzybowiec* umieścił w prawidłowym miejscu, to Wydawnictwo PLAN uparcie oznacza go na miejscu Wyższej Góry chcąc naprawić błąd niemieckiej mapy. I co można zrobić? Chyba przywiązać się łańcuchem do drzewa *vis-à-vis* wydawnictwa. Tylko tam nie ma drzew...



Panorama zachodnich Karkonoszy z Patelni. Od lewej: Wielka Góra, Czarna Przełęcz, Wielki Szyszak, Śmielec i Śnieżne Kotły

„Schreiberhau” mylnie pokazuje, że od Grzybowca (*Matzlerberg*) grzbiet opada na północny wschód, co jest oczywistym błędem. To jest właśnie źródłem całego nieporozumienia. Mimo że GUGiK na wymienionej mapie napis *Grzybowiec* umieścił w prawidłowym miejscu, to Wydawnictwo PLAN uparcie oznacza go na miejscu Wyższej Góry chcąc naprawić błąd niemieckiej mapy. I co można zrobić? Chyba przywiązać się łańcuchem do drzewa *vis-à-vis* wydawnictwa. Tylko tam nie ma drzew...

MISIE I NIEDŹWIADKI

Wychodząca z Przesieki za Gościńcem „Chybotek” ul. Karkonoska (szlak niebieski na Przełęcz Karkonoską) zmierza na południe w stronę Drogi Sudeckiej, od której odchodzi na północny zachód mały grzbiecik

zwieńczony drobnymi skałkami. Wyrastają one po zachodniej stronie szlaku niebieskiego i na mapie TK-M „Schnee gruben-Baude” oznaczono je nazwą *Bärenstein*. Nazwa niemiecka nie jest adekwatna do wielkości tych skałek, stąd moja propozycja – **Misie**. Tymczasem polskie mapy turystyczne nazwę niemiecką przeniosły prawie o 450 m niżej na wschodnią stronę szlaku niebieskiego. Figurują tam jako skałki **Niedźwiadki** ustawione poprzecznie do dolinki potoczku o nazwie **Przepłotka** na szczycie przygórka **Maleniec**. To jeszcze nie koniec! Nazwa *Bärenstein* – **Niedźwiednik** występuje również w stosunku do sporych rozmiarów skałki wyrastającego z dna doliny Podgórnej na jej lewym brzegu. W tym miejscu ujawnia się fatalna nazwa potoczna „Piecza Liczyrzepy” odnosząca się do małej przyziemnej jaskini Niedźwiednika. Autor tej makabreski nie bardzo wiedział, co to jest piecza, a już wskrzeszenie nazwy Liczyrzepa, z której wycofał się przed śmiercią jej autor J. Sykalski wygląda na małą prowokację. Dlatego proponuję korektę: **Karkonoszowa Dziura**. I pomyśleć, że całe zamieszanie z powodu jednej nazwy niemieckiej.

PODGÓRZYŃSKI RAJ

Trudny do zdefiniowania obiekt topograficzny, którego nazwa funkcjonuje w gminie podgórzyńskiej, pomiędzy Zachełmiem, Przesieką a Podgórzynem. Jest to nazwa zestawiona, petronim potoczny w liczbie pojedynczej a równocześnie kompleks skalny na obszarze bliżej nieokreślonym, o niesprecyzowanych granicach. Nawet SGTS tom 3 w haśle *Podgórzyn* rzecz potraktował jednym zdaniem: *Dużą popularnością cieszyły się liczne skałki, z których zespół w Podgórzyńskim Grn. nosił nawet nazwę „Podgórzyńskiego Raju”*. Również portal www.podgorzyn.pl, wydawałoby się najlepiej poinformowany, plecie jak Piekarski na mękach: *O każdej porze roku linia ta cieszyła się dużą popularnością wśród turystów docierających do skałki nazywanej niegdyś Podgórzyńskim Rajem*. Jak dobrze pamiętamy, Skałką nazywano niegdyś *Himmelreich*, a to znaczyło **Niebieskie Królestwo** i było najpierw petronimem, a dopiero potem nazwą miejscową najwyższej części Podgórza Górnego. Bardziej rzeczowy jest autor blogu i wortalu wisniowysad.blogspot.com, który podaje: *Południowe zbocze Przesieckiej Góry usłane jest głazami narzutowymi stanowiącymi sporą część Podgórzyńskiego Raju, który kończy się na wsch. w Podgórzyńskim Grn. na Dziurawej Skale, a zaczyna od Drogi Zachełmskiej*. Można ocenić, że ciepło, ciepło, gdyby nie te „narzutowe głazy” oraz leżąca na prawym brzegu Podgórnej Dziurawa Skała. Przesadny rozmach przez dwa duże potoki: Czerwień i Podgórną. Mając jednak kilka zamiarów można już pokusić się o ustalenie bardziej sensownych granic Podgórzyńskiego Raju. Proponuję przyjąć, że nazwa dotyczy obszaru, który wyznaczają: na zachodzie Zachełmska Droga na odcinku od Doliny Czerwienia do źródłowego stawu **Zachełmskiej Wody**, a na północy obniżenie pomiędzy Przesiecką Górą (Złotnikiem), **Przygórkami** a Czepcem (Kucznikiem). Od północnego wschodu jest to dolina potoku **Przekłęk** (lewy dopływ Czerwienia), a od południa i wschodu granicę stanowi potok Czerwień. W ten sposób mamy granice zgodne z zasadami fizjografii – nie przez potoki! Najważniejsze, że nie kłóci się to ze skałkami pod nazwą Nie-



Srebrnik (z prawej) wpływa do Białej Wody

bieskie Królestwo (*Himmelreich*) na bocznej południowo-wschodniej odnodze Czepca (Kucznika). Błędem poprzednich nominacji było łączenie odrębnych zgrupowań skalnych pod jedną nazwą. Na koniec muszę przyznać, że nazwa Podgórzyński Raj nie bardzo mi się podoba, ponieważ jest przeniesieniem z Czeskiego i Słowackiego Raju. Naśladownictwo w toponimii zawsze obniża ocenę.

SREBRNIK

Potok w Lasockim Grzbiecie, największy prawy dopływ Białej Wody. Wypływa spod **Srebrnego Rozdroża** powyżej Srebrnej Łąki pod Owczarzem

na wysokości ok. 730 m. Za Srebrną Łąką przeciska się przez **Srebrny Przełęcz** pomiędzy Owczarką a długim zboczem **Srebrnicy**. Uchodzi do Białej Wody na wysokości ok. 632 m kończąc Dolinę Srebrnika o długości 1,3 km. W miejscu ujścia Srebrnika do recypientu kończy się również dolina Białej Wody, której dolny odcinek, aż po ujście do Złotnej nosi nazwę **Przyjaznej Doliny** (Freudental). Całe zamieszanie w tej okolicy spowodowało PTTK przejmując od WOP jego obiekty na schronisko pod błędną nazwą „Dolina Srebrnika”. Dlatego skojarzono, że obiekt leży nad Srebrnikiem w jego dolinie. Dziś Wikipedia podaje odwrotnie, że Biała Woda jest dopływem Złotnej po czym cytuję namiary... Srebrnika! Istne poplątanie z pokręceniem! Srebrnik jest substantywizacją poprzedniej nazwy Srebrny Potok.



WIELKA GÓRA

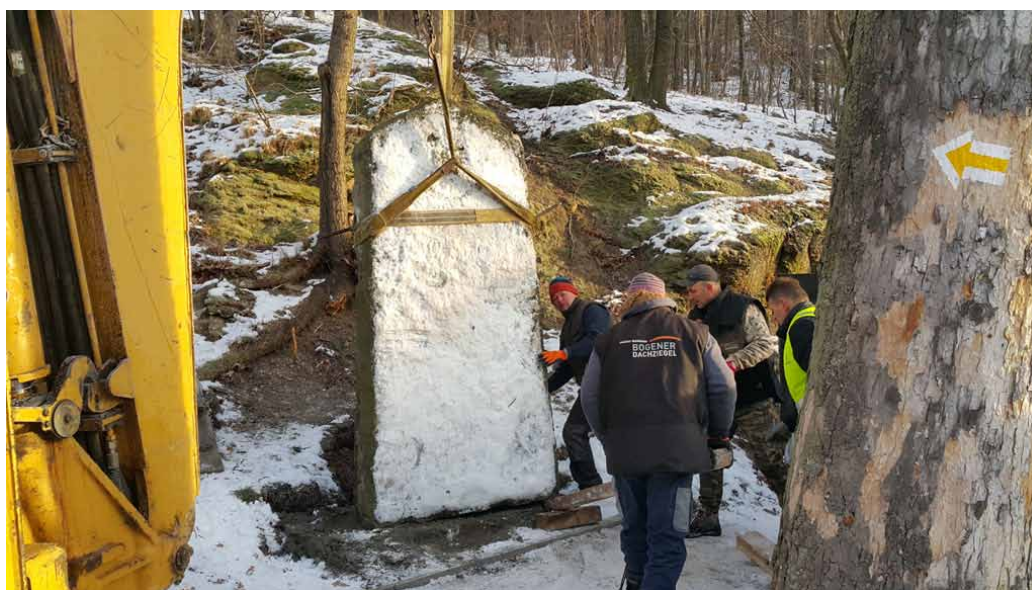
Na mapie Karkonoszy Hosera z 1804 r. oraz na mapach Fritscha z 1816 r. i Schillinga z 1832 r. występuje nazwa der grosse Berg – **Wielka Góra**. Chodzi o dwuszczytowe wzniesienie w Głównym Grzbiecie Karkonoszy, pomiędzy Czarną Przełęczą na zachodzie i **Karkonoskim Siodłem** na wschodzie. Szczyty przedziela **Wietrzne Siodło** na wysokości ok. 1394 m. Kiedy nazwano oba szczyty wniesienia, a zwłaszcza skały, nazwa der grosse Berg zniknęła z map z braku miejsca. Moim zdaniem ta historyczna nazwa powinna dzisiaj funkcjonować w przestrzeni turystycznej. Tym bardziej, że po północnej i wschodniej stronie wzniesienia pojawiły się nowe toponimy, a od obu szczytów odchodzą grzbiety: Krótki i Długi. Wielka Góra zrobiła się interesująca pod względem topograficznym i toponomastycznym, co prędzej czy później przyniesie osobne opracowanie. Wielka Góra stanowi również rozległy akcent w panoramie Karkonoszy widzianej od północy. Ten krótki tekst niech będzie pierwszym anonsem o niej.

Wielka Góra z Koralowej Ścieżki nad Czarnym Kotłem

Jerzy K. Bienkowski

Pomnik z okresu Wielkiej Wojny w Stanisławowie

Działania wojenne prowadzone podczas I wojny światowej przyniosły tak wielkie straty w ludziach, że praktycznie nie było u nas ani jednej miejscowości, do której powrócili wszyscy mieszkańcy powołani do wojska. W każdej wiosce czy miasteczku opłakiwano swoich bliskich czy sąsiadów. Dlatego też podjęto decyzję, by upamiętnić poległych w trakcie działań wojennych prowadzonych podczas Wielkiej Wojny. Ustalono, że takie pomniki zostaną ustawione w każdej miejscowości. Na tablicach umieszczano nazwiska wszystkich mieszkańców, którzy utracili życie albo w trakcie działań wojennych, albo później wskutek odniesionych ran. W jednych miejscowościach pomniki te były mniejsze, w innych osiągały spore rozmiary, w zależności od liczby osób, które należało upamiętnić, ale także od posiadanych środków finansowych przeznaczanych na ich budowę. Pomniki z reguły stawiano w reprezentacyjnych miejscach poszczególnych miejscowości. Odbывały się przy nich spotkania, składano kwiaty. Trwały tak do końca II wojny światowej. Po jej zakończeniu wiele z nich zostało zniszczonych. Niektóre znikły bezpowrotnie z krajobrazu. Spora jednak ich część zachowała się



bądź w s woim pierwotnym miejscu usytuowania, bądź została przeniesiona w inne miejsce. Często fragmenty pomników wykorzystywano wtórnie, wykonane były przecież z trwałego granitu.

Jeśli chodzi o Staniszków, to pomnik został ustawiony w centrum wsi 25 czerwca 1922 roku. Wykorzystano do tego celu plac przyległy do głównej drogi, w miejscu, gdzie po jej drugiej stronie zaczynały się schody wejściowe na górę Witosza. Najpierw przykryto koryto płynącego tutaj strumienia i wybudowano kamienną podmurówkę. To właśnie na niej umieszczono kamienną płytę o wymiarach 2,60 m wysokości, 1,30 m szerokości i 50 cm grubości. Na jej przedniej stronie wykonano wizerunek żołnierskiego hełmu. Jest on dzisiaj słabo widoczny. Poniżej umieszczono napis informujący o tym, że w ten sposób upamiętnia się mieszkańców Staniszkowa (Stonsdorf), którzy stracili życie podczas wojny 1914–1918. Dalej wypisano chronologicznie, według daty śmierci, nazwiska 38 poległych i 8 zaginionych osób.

Pomnik ten został przewrócony w roku 1947 i pozostawiony z tyłu postumentu, na którym wybudowano kaplicę poświęconą Najświętszej Maryi Pannie. Powstała wówczas kamienna grotta, w której

umieszczono figurę Matki Boskiej. Od tej pory było to miejsce odprawiania nabożeństw majowych.

Kaplica została postawiona przez osadników wojskowych jako wotum za ocalenie z pożogi wojennej. Świadczy o tym przymocowana do cokołu mała tablica z napisem: *Kapliczkę Najświętszej Marii Pannie poświęcili w podziękowaniu za ocalenie wdzięczni sybiracy, osadnicy, mieszkańcy Staniszkowa 1947*. Obecnie



nad wejściem do groty umieszczono złożony napis *AVE MARIA*, a cały placyk zabezpieczono niskim metalowym ogrodzeniem.

Przewrócona tablica leżała przez kilkadziesiąt lat w ukryciu nikomu nie wadząc, aż do czasu, kiedy to postanowiono obmurować brzegi strumyka. Wówczas została wyciągnięta na światło dzienne, a pracujący przy obudowie przymierzali się do użycia jej jako budulca. Na szczęście w tym czasie byłem już mieszkańcem Stanisłowa i – wiedząc o tym obiekcie – co jakiś czas sprawdzałem, czy jest on na swoim miejscu. Tym razem, widząc jakieś zamieszanie za kapliczką, zajrzałem tam i dowiedziawszy się o zamiarach pracowników w stosunku do niego, wymusiłem na nich, by uszanowali ten obiekt. Zgodnie z moim życzeniem położyli płytę nad strumykiem tuż za kapliczką. Na szczęście wkrótce wszystko zarosło krzakami i znowu pomnik był bezpieczny.

Jak się jednak okazało, obiektem tym interesowałem się nie tylko ja. Znalazły się kolejne osoby chcące, by w końcu płyta została ponownie ustawiona. Początkowo myślano o przeniesieniu jej na teren cmentarza. Brano także pod uwagę teren za kościołem, obok cokołu po stojącym tam kiedyś pomniku upamiętniającym mieszkańców wsi poległych podczas wojny francusko-pruskiej. Ostatecznie stało się zupełnie inaczej. Po wielu próbach podjęto wreszcie decyzję o ustawieniu owego pomnika po drugiej stronie drogi, tuż przy schodach prowadzących na Witoszę, przed dawną remizą strażacką. Z samego rana 19 grudnia 2018 roku podjęto próbę przemieszczenia płyty. Najpierw trzeba było ją „wyjąć” z miejsca, na którym leżała od lat. Jak

się okazało, wcale nie było to takie łatwe, gdyż rosnące drzewa nie pozwalały na bliższe podjechanie dźwigu. Musiał on stanąć w pewnej odległości od strumienia. W celu założenia łańcuchów trzeba było z obu stron płyty nawiercić głębokie otwory, w które wsunięto grube pręty zbrojeniowe. Dopiero wtedy można było założyć łańcuchy i nadrzucić płytę nieco bliżej dźwigu. Wtedy jednak okazało się, że dźwig o nośności 5 ton nie jest w stanie podnieść pomnika. Udało się to dopiero po przyjechaniu koparki, która pomogła unieść płytę drugiej strony. Wtedy bardzo ostrożnie wsunięto ją na przyczepę i przewieziono na drugą stronę drogi. Tam ustawiono na wcześniej przygotowanym miejscu. Plac został wyrównany, położono zbrojenie i wykonano wylewkę z betonu. Dzięki temu wstawiona płyta jest stabilna i nie grozi jej przewrócenie.

Teraz trzeba tylko zaczekać na lato i będzie można płytę poddać piaskowaniu tak, by umieszczone na niej napisy stały się czytelne.

Krzysztof Tęcza

Górski Dom Turysty
 "Pod Biskupią Kopą"
 48-267 Jarnołtówek 211
 tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
 e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Historia niezwykłego zamku

Jadąc z Kalisza w kierunku Pleszewa mijamy niewielką miejscowość o wdzięcznej nazwie Gołuchów. Na tle bujnej roślinności parkowej zobaczyć można, jedną z nielicznych w Polsce, rezydencję w stylu zamków nad Loarą, należącą niegdyś do rodu Działyńskich i Czartoryskich. Zaczątkiem zamku stał się pobudowany w XVI wieku przez Rafała Leszczyńskiego herbu Wieniawa okazały dwór, rozbudowany i wyniesiony przez kolejne pokolenia tego rodu do rangi okazałej posiadłości magnackiej.

Leszczyńscy posiadali Gołuchów aż do XVII wieku, kiedy to postanowili go sprzedać i rozpoczął się trwający półtora wieku upadek całej majątności. Wówczas posiadłość wraz z dobrami ziemskimi przechodziła z rąk do rąk, stając się własnością znamienitych rodów m.in. Słuszków, Przyjemskich, Świniarskich, Chlebowskich czy też Suchorzewskich. W 1846 roku majątek nabył drogą licytacji Wincenty Kalkstein herbu Kos, który na kartach historii Gołuchowa zapisał się niechlubnie. W pamięci ówczesnych gołuchowskich mieszkańców przetrwał jako człowiek porywczy, okrutny i bezwzględny dla swoich poddanych¹.

Powolny upadek majątności gołuchowskiej i udręka mieszkańców została przerwana w 1853 roku, gdy hrabia Tytus Działyński, ówczesny właściciel Kórnika, zakupił dobra gołuchowskie od Wincentego Kalksteina. Powierzchnia majątku wynosiła wówczas 838 hektarów, z czego najwięcej było ziemi ornej (77%), a pozostała część stanowiły lasy i łąki. Hrabia Działyński przekazał majątek synowi Janowi Kantemu, który już w lipcu 1853 roku zaczął gospodarzyć w swoich dobrach². Pomimo poprawnych relacji nowego właściciela z lokalną ludnością pracującą na rzecz dworu, zaniedbania i obciążenia finansowe poczynione przez poprzednich właścicieli oraz klęski żywiołowe przyczyniły się do tego, że młody Działyński nie poradził sobie z zarządzaniem majątkiem i wydzierżawił go. Sam poświęcił się nauce, brał udział w wykopaliskach, wspierał finansowo uczniów i studentów oraz zajmował się pośrednictwem w sprzedaży majątków znajdujących się w Wielkim Księstwie Poznańskim.

Szczęście nie sprzyjało młodemu Działyńskiemu również w miłości, bowiem ojciec jego nie wyraził zgody na poślubienie ukochanej Marii Mańkowskiej, córki Teodora Mańkowskiego, właściciela majątku w Winogórze w powiecie średzkim. Młody Działyński, zgodnie z wolą ojca, w lutym 1857 roku w Paryżu, w kościele na wyspie św. Ludwika, zawarł małżeństwo z księżną Izabelą z Czartoryskich, córką księcia Adama Jerzego zwanego też „niekoronowanym królem” emigracji polskiej po powstaniu listopadowym. Małżeństwo Działyńskich, tak jak każde ówczesne, zostało poprzedzone intercyzą i zaaranżowane przez obie rodziny³. Pomimo iż oboje młodzi niezbyt chętnie wzięli ślub, ich związek był zgodny, pełen wzajemnego szacunku i między nimi istotne różnice majątkowe. Izabela z Czartoryskich Działyńska wywodziła się z bogatego rodu i doskonale radziła sobie w świecie finansów, zarządzała nimi. Natomiast jej mąż niezbyt umiejętnie gospodarował funduszami, korzystając często z pożyczek zaciągniętych u żony bądź jej rodziny. Ponadto księżna Izabela wniosła do małżeństwa



Zamek w Gołuchowie. Fot. S. Wielgosz

pokażny posag w wysokości 600 000 franków francuskich, o wiele większy niż sumy, które mogli zapewnić rodzice Janowi⁴.

W 1864 roku, po powstaniu styczniowym, na dobra gołuchowskie został nałożony sekwestr. Była to kara dla młodego Działyńskiego za wspieranie powstańców styczniowych w Wielkim Księstwie Poznańskim. Ponadto wydano nań wyrok śmierci, który został zniesiony i zamieniony na trzy lata w twierdzy i obowiązek pokrycia kosztów procesu. Dzięki staraniom adwokata Działyńskiego, król Wilhelm I objął go amnestią. Mógł on powrócić do kraju z emigracji nie obawiając się już o swoje życie⁵.

Posiadłość gołuchowską wraz z kolekcją waz greckich, zgromadzoną w Paryżu w Hotelu Lambert, Jan Działyński przekazał żonie na własność w 1876 roku, jako spłatę długów m.in. zaciągniętych na poczet uzbrojenia powstańców styczniowych. Dwór, jak i sam Gołuchów, początkowo nie wywarł zbyt dobrego wrażenia na księżnej, gdyż okre-



Hotel Lambert w Paryżu. Zbiory prywatne S. Wielgosza

śliła go jako *średniowieczną kasztelanię po złupieniu* i nie chciała osiąść w nim na stałe. Wychowywana od trzeciego roku życia we Francji, a od trzynastego mieszkanka Hotelu Lambert, paryskiej siedziby rodu Czartoryskich, otoczona przepychem i dobrodziejstwami kultury francuskiej, wrażliwa na piękno i wywodząca się z rodu charakteryzującego się wielopokoleniową tradycją kolekcjonerską, nie wyobrażała sobie siebie jako prowincjuszki. Jednakże dzięki tradycjom rodzinnym, swojej pasji kolekcjonerskiej (którą zakorzeniła w księżnej jej babka, Izabela z Flemingów Czartoryska, założycielka pierwszego muzeum w XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej) i wrażliwości na piękno nadała temu miejscu cechy romantycznych ruin. Rezydowanie w miejscowości należącej przed wiekami do rodu Leszczyńskich, z którego wywodził się król Stanisław Leszczyński, związany również z Francją, zadecydowało o tym, że księżna Izabela postanowiła uczynić z Gołuchowa *paradis terrestre* – ziemski raj. Wspomniane już tradycje kolekcjonerskie rodu Czartoryskich, a także obawa przed utratą (wskutek wojny francusko-pruskiej) zbiorów z Hotelu Lambert, przyczyniły się do zgromadzenia w posiadłości gołuchowskiej bogatej kolekcji dzieł o wysokiej wartości artystycznej. Dawny „dwór Leszczyńskich” przebudowano w stylu zamków nad Loarą i nadano mu charakter bogatej rezydencji arystokratycznej, która stała się ostoją dla realizacji pasji księżnej Izabeli. Najwięcej prac remontowych wykonano według projektu polskiego architekta Zygmunta Gorgolewskiego i francuskiego architekta Maurycego Ouradou⁶. Temu ostatniemu księżna powierzyła również zaprojektowanie niektórych wnętrz w zamku.

Izabela z Czartoryskich Działyńska zgromadziła w zamku bogatą kolekcję m.in. emalii limuzyjskich, ceramiki włoskiej i francuskiej, szkła weneckiego, egipskiego rzemiosła artystycznego, antycznych brązów, figurek terakotowych oraz wczesnochrześcijańskich naczyń szklanych. Na zamku księżna umieściła także kolekcję waz greckich, jedną z najwartościowszych w Europie, która zachwyca do dzisiaj swoim pięknem. Wnętrza zostały urządzone w stylu renesansu włoskiego i francuskiego. Aranżując wnętrza zamku księżna pamiętała również o Leszczyńskich i umieściła w poszczególnych elementach ekspozycji herb Wieniawa w postaci głowy tura z kolczykiem w nozdrzach. Ozdobne stropy drewniane i polichromowane, bogata dekoracja kamieniarska kominków oraz snycerska drzewi nadawała pomieszczeniom specyficznego uroku. Zostały one wyposażone w meble, przeważnie XVII- i XVIII-wieczne, wzbogacono je także obrazami znakomitych malarzy. Można było wówczas zobaczyć dzieła najzdolniejszych i najwybitniejszych malarzy, takich jak m.in. Marcello Bacciarelli, Joseph Grassi, Leon Kapliński, Jan Piotr Norblin, Louis de Silvestre, Hyacinthe Rigaud, Charles Lebrun czy Eustachy Lesueur⁷. Na życzenie właścicielki Maurycy Ouradou zaprojektował drewnianą klatkę schodową zwaną „schodami wielkimi”, którą umieszczono w baszcie specjalnie dobudowanej do całej bryły zamku. Prace nad klatką schodową prowadzone były w latach 1875–1903, czyli przez 28 lat⁸. Balustrady,

tralki i wsporniki na podestach ozdobiono płaskorzeźbą o motywach renesansowej groteski roślinnej i figuralnej.

Księżna Działyńska utworzyła w gołuchowskim zamku XIX-wieczne prywatne muzeum, zajmujące cztery sale zamkowe. Istnieje przypuszczenie, że udostępniano je zwiedzającym tylko 15 dni w roku, podczas nieobecności księżnej. Pozostała część rezydencji była przeznaczona dla gości. Natomiast Działyńscy mieszkali w przebudowanej na oficynę gorzelni, znajdującej się na terenie parku, w pobliżu zamku. Warto podkreślić,

iż księżna, związana emocjonalnie z ukochaną Francją, wielokrotnie podróżowała wówczas do tego kraju, tym bardziej, że odziedziczyła po ojcu i bracie Hotel Lambert. Nieustanna chęć nabywania coraz to atrakcyjniejszych dzieł sztuki powodowała, że eksponaty były zakupywane przeważnie na aukcjach lub u antykwariuszy zagranicznych, m.in. Wilhelma Froehnera czy Emila Moliniera.

Hrabia Działyński wspierał nieustannie żonę w pracach związanych ze wzbogaceniem gromadzonych na zamku gołuchowskim kolekcji. Jednakże w ostatnich latach swego życia przebywał w Kórniku, skąd w listach pełnych życzliwości i szacunku konsultował z małżonką wszystkie podejmowane działania związane z Gołuchowem.

Pogarszający się, wskutek kolejnego wylewu krwi do mózgu i paraliżu, stan zdrowia hrabiego Działyńskiego doprowadził do jego śmierci 30 marca 1880 roku, po dwóch tygodniach walki o życie. W trosce o losy gołuchowskiej kolekcji, w związku z brakiem potomstwa, księżna postanowiła utworzyć w 1893 roku ordynację gołuchowską. Był to dokument, na mocy którego majątek gołuchowski wraz z kolekcją mieli dziedziczyć mężczyźni z rodu Czartoryskich po ukończeniu 24 roku życia. Kolekcja miała być też nierozdzielna z gołuchowskim zamkiem⁹.

Po śmierci księżnej Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej, która miała miejsce 18 marca 1899 roku w Mentonie na Łazurowym Wybrzeżu, zgodnie z utworzoną ordynacją gołuchowską majątek został przejęty przez jej bratanka, księcia Witolda Czartoryskiego, syna księcia Władysława Czartoryskiego i Małgorzaty. Nowy ordynat zarządzał kolekcją gołuchowską aż do śmierci, czyli do 1911 roku. Po nim kolejnym ordynatem został jego brat, książę Adam Ludwik Czartoryski, który wraz z małżonką Marią Ludwiką z Krasińskich i dziećmi związany był z zamkiem w Gołuchowie aż do 1939 roku.



Zamek w Gołuchowie. Działiniec. Fot. S. Wielgosz



Kaplica-mauzoleum Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej w gołuchowskim parku. Fot. Piotr Dacko

Idea muzealnictwa była kontynuowana przez ordynatów, którzy systematycznie uzupełniali zbiory. Twierdzić można, że za czasów ordynata księcia Witolda Czartoryskiego muzeum udostępniano zwiedzającym od maja do września, dwa razy w miesiącu. Książę nawet zapewnił turystom bezpłatny dojazd z Pleszewa do Gołuchowa. Działania te odniosły pożądany skutek, gdyż frekwencja zwiedzających znacznie wzrosła – z 590 osób w 1906 roku do 1266 osób w 1910 roku¹⁰. Natomiast następca księcia Witolda udostępniał muzealne zbiory od maja do października codziennie, z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych. Cieszyły się one dużym zainteresowaniem¹¹. Gdy wybuchła II wojna światowa, owdowiała



Zamek w Gołuchowie. Fot. Piotr Dacko

już Maria Ludwika z Krasińskich Czartoryska sprawowała opiekę nad ordynatem, synem Władysławem, niemającym jeszcze 24 lat. Pragnąc uchronić zbiory przed utratą wywiozła część kolekcji, którą uznała za wartościową, do Warszawy i nakazała zamurować ją w bramie przy ulicy Kredytowej 12. Następnie, wobec groźby rekwizycji i wywiezienia do Rzeszy, złożono ją w depozyt do Muzeum Narodowego w Warszawie, będącego wówczas pod zarządem Niemców¹². Zbiory pozostawione w Gołuchowie trafiły w ręce Niemców, którzy wywieźli je do Poznania. Natomiast Armia Czerwona zniszczyła atlasy, adamaszki, meble i część podłóg. Tak zdewastowany zamek przetrwał czasy wojenne i w 1956 roku stał się własnością Muzeum Narodowego w Poznaniu.

Zamek w Gołuchowie funkcjonuje obecnie jako filia Muzeum Narodowego w Poznaniu. Kolekcja Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej zachowała się w niewielkiej części. Fragment ocalałej kolekcji zobaczyć można na stałej ekspozycji muzealnej. Pozostała część zbiorów jest rozproszona. Znajduje się albo w rękach prywatnych, albo w innych muzeach – w Muzeum Narodowym w Warszawie. Zachowane opisy (m.in. „Przewodnik po Gołuchowie” Nikodema Pajzderskiego, wydrukowany w 1913 roku), liczne rachunki zakupów antykwarycznych, listy i pozostała dokumentacja archiwalna, a także fotografie zamku i rodziny Czartoryskich – autorstwa Ignacego Kriegera z 1890 roku, Antoniego Pawlikowskiego z 1905 r. i Romana Ulatowskiego sprzed 1939 roku – pozwalają na dokładne opisanie kolekcji. Głównym dążeniem współczesnego muzealnictwa w Gołuchowie jest odtworzenie, w miarę możliwości, zbiorów gołuchowskich. Umieszczone na ekspozycji fotografie z 1905 roku, wykonane przez Antoniego Pawlikowskiego, umożliwiają zwiedzającym porównanie zbiorów z czasów księżnej Działyńskiej i książąt Czartoryskich ze stanem obecnym.

Marta Gołembiewska

Przypisy:

¹ R. Kąsinowska, „Gołuchów. Rezydencja magnacka w świetle źródeł”, Ośrodek Kultury Leśnej, Gołuchów 2018, s. 59–71.

² A. Mężyński, Jan Działyński 1829–1880, „Ostatni z rodu”, PAN, Kórnik 2002, s. 22.

³ Ibidem, s. 30.

⁴ Ibidem, s. 31.

⁵ Ibidem, s. 49.

⁶ R. Kąsinowska, op. cit., s. 104.

⁷ Ibidem, s. 184–205.

⁸ Ibidem, s. 104.

⁹ D. Marek, „Ordynacja gołuchowska Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej (1830–1899)”, Muzeum Narodowe w Poznaniu, Poznań 2015, s. 3–4.

¹⁰ R. Kąsinowska, op. cit., s. 386.

¹¹ Ibidem, s. 394.

¹² D. Marek, op. cit., s. 31–32.

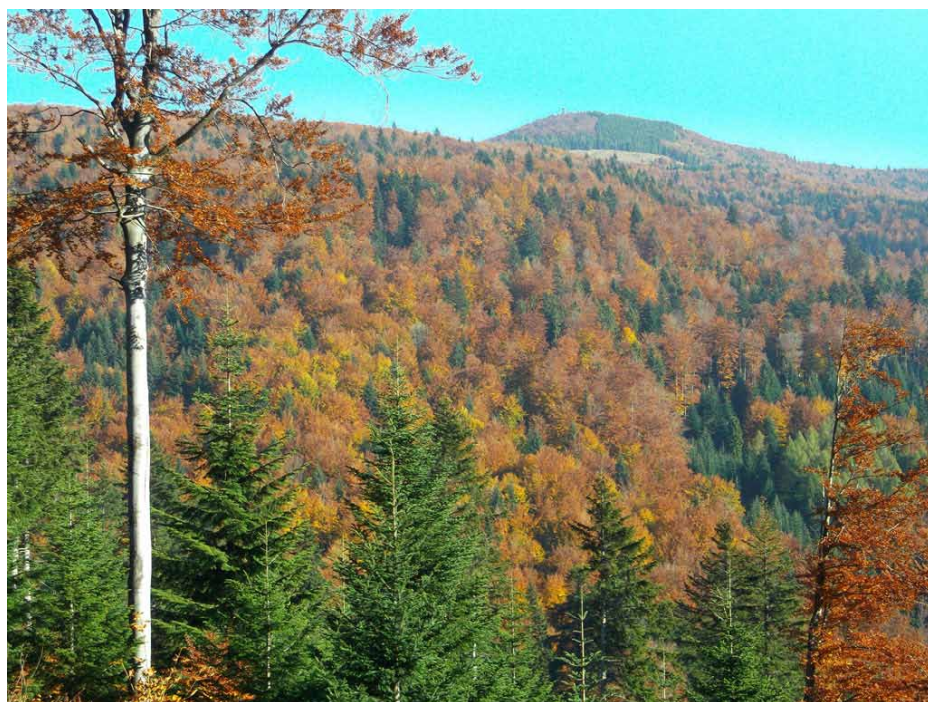
Rzeka pełna mleka?

Wstęp do Beskidu Wyspowego

Beskid Wyspowy to grupa samodzielnych gór wystających z dolin na 400–500 m. Widać to doskonale z tarasu widokowego przy schronisku na Luboniu Wielkim (1022 m n.p.m.), z wieży widokowej na Mogielicy (1171 m n.p.m.) czy z hali szczytowej na Ćwilinie (1072 m n.p.m.). Rewelacyjnie wygląda poranne morze mgieł u stóp wyspowych wierzchołków. By to zobaczyć, by raczyć się kolorami górskiej jesieni, trzeba wybrać się w te góry najlepiej w połowie października. Można wystartować z Krakowa wsiadając do porannego autobusu jadącego np. do Szczawnicy. Polecam kurs przez Mszanę Dolną, Lubomierz i Szczawę. Trasa autobusu wiedzie granicą Gorców i Beskidu Wyspowego. Jeśli potrzebne są jakieś zakupy, to wysiadamy w Szczawie, gdzie można uzupełnić zaopatrzenie; jeśli jesteśmy gotowi do wędrowki – możemy wysiąść na przystanku Gryblówka, 2,5 km przed Szczawą (530 m n.p.m.). W tym miejscu niebieski szlak pieszy Szczawa – Przełęcz Przysłop (879 m n.p.m.) wchodzi z szosy na leśne ścieżki. Tak zaczyna się „wstęp do Beskidu Wyspowego”, czyli pierwszy dzień wędrowki w tych górach.



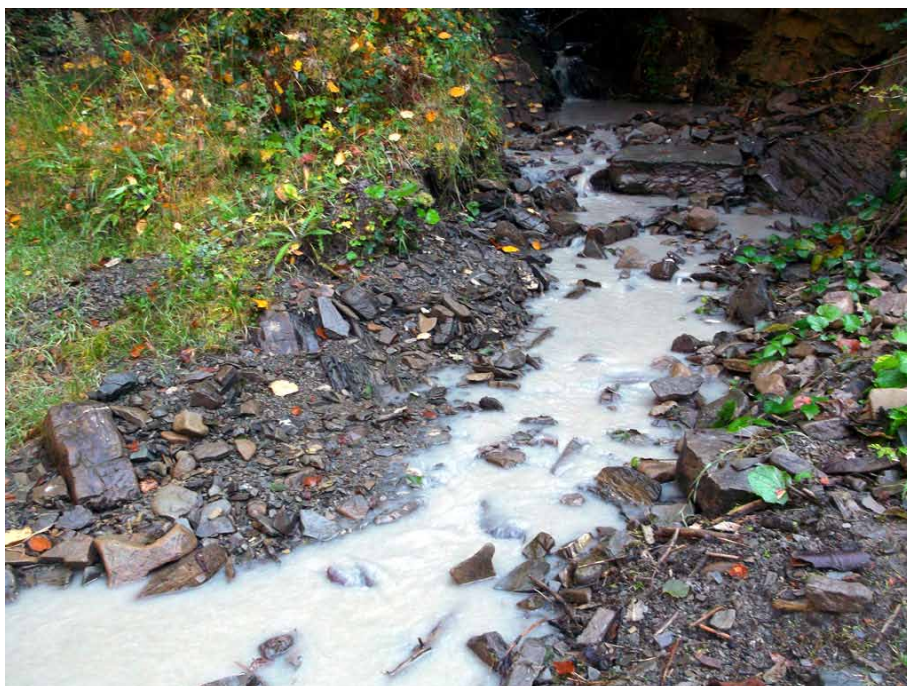
Wielki Wierch nad Doliną Kamienicy



Mogielica z drugiego zakosu niebieskiego szlaku

Jesteśmy w centralnej części tej grupy górskiej. Zmierzamy do Jurkowa lub – jeśli mamy lato – na Polanę Wały, gdzie w lipcu i sierpniu działa baza namiotowa SKPB Katowice. We wspomnianym Jurkowie (Chyszówkach) można na kilka dni założyć „bazę wysuniętą” w którymś z gospodarstw agroturystycznych. W bazie na Wałach można się zatrzymać na dwa, trzy dni i z niej wyskoczyć choćby na pobliską Mogielicę.

Zanim niebieski szlak zagłębi się w las, idziemy łagodnie wznoszącym się trawersem z widokiem na Wielki Wierch (1007 m n.p.m.) po drugiej stronie doliny Kamienicy, potem zakos w prawo i ponownie widokowy, prawie poziomy odcinek doprowadzający do kolejnego zakosu, z którego zobaczymy majestatyczną Mogielicę. Mijamy ostatnie gospodarstwo i wchodzimy na leśny odcinek szlaku. Doprowadza on do szerokiej, wygodnej stokówki z widokiem na... Mogielicę. Droga doprowadza na Przełęcz Przysłopiek (879 m n.p.m.), skrzyżowanie leśnych dróg i węzeł szlaków. Stojąca tam wiata zachęca do odpoczynku, warto zatrzymać się na dłużej i odpocząć przed pierwszym „prawdziwym” podejściem na Krzystonów (1012 m n.p.m.). Z przełęczy żółty szlak prowadzi w jedną stronę na Mogielicę, w drugą przez Krzystonów na Jasień (1062 m n.p.m.) i dalej przez Rzeki w kierunku Gorców. Droga, którą przed chwilą szliśmy, doprowadza do stokówki trawersującej zachodnie ramię Mogielicy oraz zbocza zachodnie i północne. Wykorzystywana jest przez górskich rowerzystów i narciarzy biegowych.

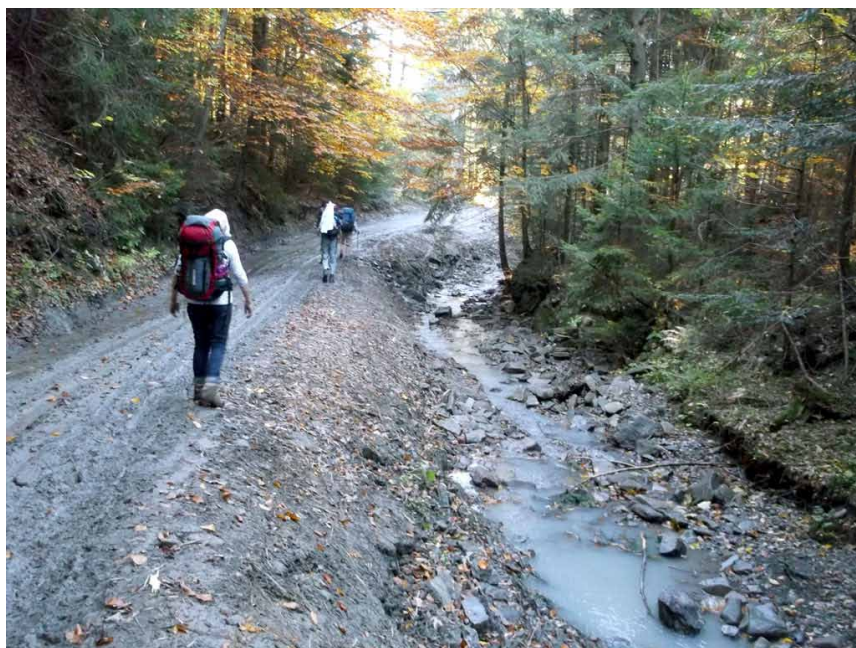


„Rzeka pełna mleka”

Teraz zwracamy się w lewo na wznoszącą się ścieżkę, którą wiedzie wspomniany szlak żółty. Podejście jest dość strome, choć niespecjalnie uciążliwe. Podchodzimy na Mały Krzystonów (984 m n.p.m.) i dalej, już łagodniej, na Krzystonów. Z przełęczy mamy do pokonania 133 m przewyższenia. Dalej grzbietową ścieżką, nieco obniżającą się, schodzimy do skrzyżowania ze szlakiem zielonym (wiedzie z przystanku Białe przed Szczawą do Pólrzeczek, w lewo jest dojście na Polanę Wały). Chwila odpoczynku po podejściu i ruszamy w dół zielonym szlakiem, w prawo na północ do Pólrzeczek. Ścieżka obniża się trawersując ramię Krzystonowa rozdzielające dwa potoki. Mijamy niewielką polanę z ciekawym, nietypowym szalasem. Oba potoki spotykają się dość nisko, ścieżka zamienia się w drogę gruntową, po deszczu mocno błotnistą. I tu ciekawostka – owa tytułowa „rzeka pełna mleka”. Dochodząc do spotkania się potoków możemy zobaczyć, że tym z lewej płynie czysta, przezroczysta woda, a ten z prawej strony niesie wodę przypominającą... mleko (zdjęcie). Zjawisko to zobaczyłem idąc tym szlakiem po raz trzeci. Nie wiem, jak często i w jakich okolicznościach się

pojawia, niemniej jest faktem, że to „mleko” płynie jednym z potoków. Powyżej na pewno nie ma mleczarni, ani żadnego nienaturalnego źródła powodującego ową „mleczność”. Może ktoś z Czytelników obeznany z geologią Krzystonowa potrafi wyjaśnić, co wypłukuje woda.

Idąc dalej wspomnianą drogą, już całkiem łagodnie dochodzimy do szosy w Pólrzeczkach i dalej do Jurkowa, który może być bazą do dalszego poznawania Beskidu Wyspowego. Wędrujemy mając przed sobą widok na Ćwilin, a po prawej Łopień. Podczas opisanego przejścia pokonujemy ok. 480-metrowe przewyższenie w podejściu z Gryblówki na Krzystonów, czas przejścia to 4–4.5 godz.



Droga do Pólrzeczek

Juliusz Wyslouch

Kilka słów o Szczebłu

Pisze kol. Sebastian Jakob-schy, że Beskid Wyspowy *omija się jadąc w Tatry lub choćby w Pieniny*. Tak, ale nie do końca. Wystarczy zobaczyć, co się dzieje na Przełęczy Rydza Śmigłego w pogodne niedzielę. Cała przełęcz załadowana jest samochodami, a szlak na Mogielicę przypomina niemal ten na Giewont i chyba jest



Drogowskaz na Szczebłu



Zimna Dziura

Dziurze, jaskini znajdującej się na północnym zboczu przy szlaku z Lubnia. Warto tam zajrzeć, nawet poświęcając na wycieczkę cały dzień, wychodząc ze schroniska na Luboniu Wielkim, z Kasinki Małej lub z Mszańskiej Dolnej. Zejście jest bezpieczne, wewnątrz jaskini także. W upalny dzień daje wytchnienie tak, że nie chce się wychodzić z chłodnej komory na powierzchnię. Na wierzchołku Szczebła znajduje się **długi skalny**

Mogielica takim wyspowym Giewontem. Ale to dygresja.

Styczniowa „Trasa Miesiąca” przypominająca czytelnikom Szczebel skłoniła mnie do napisania kilku słów o tej górze i dorzucenia paru zdjęć. Kol. Sebastian wspomina o **Zimnej**



Wnętrze Zimnej Dziury

Skalny mur na Szczebliu



mur, który zwykle się omija przechodząc, gdyż nie widać go z grzbietowej ścieżki. Kilkadziesiąt metrów dalej przy czarnym szlaku jest **startowisko paralotniowe**, o którym wspomina autor styczniowej „Trasy”. Roztacza się stamtąd widok na niemal cały Beskid Wyspowy. Wniosek z powyższej prezentacji jest jeden – Szczebel to góra, na którą warto się wybrać.

Juliusz Wyslouch



Widok Beskidu Wyspowego ze startowiska

Magazyn turystyczno-krajoznawczy

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

Polub nas na Facebooku!

Gość z antypodów

Dawno minęły już czasy, kiedy wiedziony „turystycznym obłędem” chodziłem po górach, by przejść jak najwięcej, jak najwyżej, od świtu do wieczora, ile się da. Przyznaję, miałem taki okres w moim turystycznym życiorysie. Było to wtedy, gdy chodziłem na solowe wyprawy, choć nigdy nie uprawiałem tzw. zaliczania szczytów. Miało się wtedy więcej sił, łatwiej znosiło się niewygodę, łatwiej wstawało o 4–5 rano...

Teraz, choć nie unikam trudów wędrówki i, tak samo jak kiedyś, starannie planuję wielodniowe wypadu w góry, to nieco inne mam priorytety i cele. Nierzadko przemierzam znane już szlaki, jednak inaczej patrzę na góry, szukam (choć nie zawsze znajduję) miejsc i obiektów, które kiedyś mijalem obojętnie lub nie wiedząc, że istnieją. Ponieważ chodzę wolniej, to i widzę więcej. Podczas ostatniego wypadu w Beskid Sądecki zwrócił moją uwagę dziwny twór, ni to kwiat, ni to zwierzę, ni to inne „cóż”. W drodze z Jazowskiej na Przehybę zauważyłem przy szlaku to dziwko. Wyróżniało się z otoczenia intensywnym czerwonym kolorem i niezwykle kształtem. Zanim zrobiłem z bliska zdjęcie, upewniłem się, czy to aby nie jakaś góraska ośmiornica i czy aby nie gryzie. Nie ugryzło, więc pochyliłem się z aparatem. Efekt widać na zdjęciu. Po dyskusji w rodzinnym gronie stanęło, że to jakiś grzyb. Postanowiliśmy to sprawdzić i okazało się, że jest to gość z antypodów, **okratek australijski** (inaczej – kwiatowiec australijski), grzyb z rodziny sromotnikowatych. W Polsce został zauważony po raz pierwszy w roku 1975 w okolicach Biłgoraja (Wikipedia). Występuje rzadko, jednak rozprzestrzenia się w naturalny sposób i dziś można go zobaczyć w Beskidzie Sądeckim i w Gorcach (na Polanie Stawieniec na pewno), a pewnie jeszcze w innych miejscach. Choć jest to gatunek obcy, zawleczony przed ponad 100 laty do Europy, stanowi ozdobę lasów i łąk – nazwałbym go „leśną biżuterią”.



Okratek australijski

Juliusz Wysłouch

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

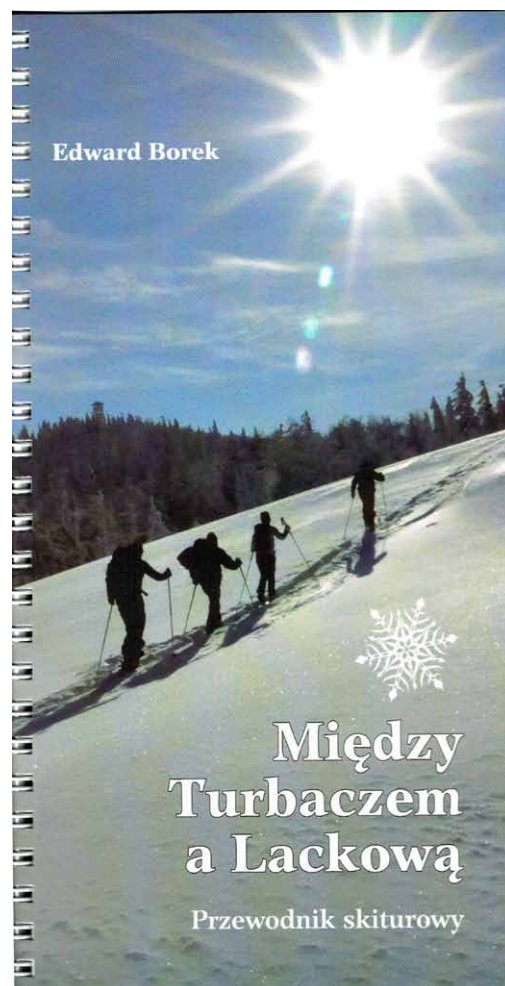
**Polub nas
na Facebooku!**

Turystyka narciarska... Dobry przewodnik to też poradnik

Latem ubiegłego roku spotkałem na Hali Pisanej w Beskidzie Sądeckim Edwarda Borka z nowosądeckiego oddziału PTTK, który wraz z kolegą przemierzał drogi, ścieżki i szlaki w tychże górach odnawiając oznakowanie szlaków narciarskich. Ich dziełem i dziełem nowosądeckich narciarzy jest znakomicie utrzymana sieć szlaków narciarskich na Sądecczyźnie. By umiejętnie korzystać z tych szlaków, trzeba mieć narty, umiejętności, mapę i... odpowiedni przewodnik. Taki jest „**Między Turbaczem a Lackową. Przewodnik skiturowy**” autorstwa Edwarda Borka.

Jak pisze autor w przedmowie: *Celem przewodnika jest propagowanie Beskidów i Gorców jako obszaru do uprawiania turystyki narciarskiej i alternatywy dla Tatr, często zatłoczonych lub z różnych względów niedostępnych.* W przewodniku znajdziemy szczegółowe informacje i opisy 20 turystycznych tras narciarskich w Gorcach, Beskidzie Sądeckim, Małych Pieninach, Beskidzie Wyspowym i Niskim. Większość stanowią trasy biegnące szlakami Beskidu Sądeckiego. Przewodnik adresowany jest głównie do narciarzy posługujących się sprzętem turowym, ale mogą z niego skorzystać także posiadacze nart śladowych. Są tu trasy trudne i średnio trudne, wymagane jest spore doświadczenie turystyczne, dobra orientacja w terenie, dobra technika jazdy, pewny stan zdrowia i odpowiednia kondycja fizyczna. To jednak norma w turystyce górskiej, a zwłaszcza zimowej i narciarskiej. Większość tras zawiera również odcinki łatwe technicznie, poprowadzone drogami stokowymi o niewielkim nachyleniu i z fragmentami poziomymi oraz drogami w dolinach. Nie brak wariantów tras przeznaczonych dla bardzo doświadczonych narciarzy-turystów. Wymagają one bardzo dobrej znajomości terenu, orientacji i znakomitej techniki. Trasy wykorzystują letnie szlaki piesze, znakowane szlaki narciarskie oraz nieznakowane drogi i ścieżki. Wiodą też rozległymi polanami i halami, gdzie trzeba zachować wzmożoną czujność, zwłaszcza w warunkach ograniczonej widoczności (mgła, śnieżyca). W każdym przypadku narciarz musi mieć aktualną mapę i kompas. Przeważają trasy całodniowe, niektóre można podzielić na dwa jednodniowe odcinki z wykorzystaniem schronisk wysoko w górach. Są to trasy wiodące przez Przehybę, Turbacz, bacówkę nad Wierchomlą, czy Halę Łabowską. Tu uwaga. Nawet dzieląc długodystansową trasę na dwa odcinki trzeba mieć na uwadze krótki zimowy dzień i wpływ sił wynikający z długich podejść.

Przewodnik jest bardzo jasny i czytelny. Mieści, oprócz opisów, mapki tras, a legenda umieszczona na początku zawiera niezbędne oznaczenia tak, by nie zaciemniać oglądu tras. Ważne jest graficzne oznaczenie podejść i zjazdów, inną kreską pokazano warianty tras. W opisach wskazane są także ciekawostki i obiekty krajoznawcze – skały, jaskinie, zabytki architektury. W części informacyjnej znajdziemy zdjęcia i krótkie opisy schronisk górskich PTTK przydatnych podczas narciarskich wędrówek. W opisach tras nie brak technicznych uwag wskazujących, jak korzystniej i bezpieczniej pokonać jakiś trudniejszy odcinek. Precyzyjnie wymienione są wszystkie zmiany kierunku jazdy. Mapki w przewodniku w połączeniu z dobrą mapą turystyczną dają nam dokładny przebieg omawianej trasy. Uważnie czytając opis można szczegółowo zaplanować wycieczkę. Wiele tras oprócz zasadniczego przebiegu ma opisane warianty, ale skorzystanie z nich wymaga sporego doświadczenia i samodzielności w terenie, czasem trudnym. Jednak wiele propozycji nadaje się nawet dla



średnio zaawansowanego turysty-narciarza, aczkolwiek z dużym doświadczeniem ogólnoturystycznym w górach. Treść przewodnika uzupełniają doskonale zdjęcia pokazujące realia narciarskiej wędrówki. Na końcu znajdziemy dekalog narciarza-turysty. Warto go sobie przypomnieć – jest to krótki zbiór podstawowych zasad przydatnych podczas górskiej (i nie tylko) narciarskiej wędrówki.

Juliusz Wysłouch

Edward Borek, „Między Turbaczem a Lackową. Przewodnik skiturowy”, Oficyna Wydawnicza „Wierchy” COTG PTTK w Krakowie przy współpracy z Wydawnictwem „Compass” i Spółką z o.o. Schroniska i Hotele PTTK „Karpaty”

CYTAT MIESIĄCA

Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość. Pod koniec grudnia spłonęła chałupa stojąca na Hali Miziowej obok schroniska PTTK. W mediach poinformowano, że spłonęło *dawne schronisko turystyczne, stojące obok nowego. Na szczęście ogień nie zagroził nowemu, istniejącemu od kilku lat, schronisku*. W każdej relacji czytam: *budynek starego schroniska*. Te frazy powtarzały różne media, co potwierdza moją tezę, że pracownicy tychże (świadomie nie używam słowa „dziennikarze”) nie starają się podawać prawdziwych informacji, nie weryfikują ich, powtarzają nieprecyzyjne wiadomości, nie informują rzetelnie odbiorców.

Zatem, aby pocieszyć zmartwionych utratą dawnego schroniska na Hali Miziowej, spieszę z informacją, że prawdziwe dawne (stare) schronisko zbudowane w latach 1926–1930 spłonęło już dawno, w roku 1953, prawdopodobnie na skutek zaproszenia ognia przez pijanego gościa, który zasnął z papierosem w ustach. Tak podają źródła. Tu dygresja. W różnych materiałach spotyka się sformułowanie: „pijanego turysty”. Stanowczo sprzeciwiam się używaniu takich i podobnych zwrotów. Albo pijanego, albo turysty! Nowe schronisko działa od jesieni 2003, więc nie „od kilku lat”. Spalony budynek to bufet grillowy ulokowany w chałupie góralskiej, wypreparowanej ze schroniska turystycznego w czasie jego rozbiórki przed niemal 18 laty. Po pożarze pierwszego, pięknego skądinąd schroniska, urządzono tymczasowe, które działało do końca XX w. Mieściło się w baraku placówki WOP połączonym ze wspomnianą chałupą. Po likwidacji straźnicy WOP barak zaadaptowano na potrzeby schroniska. W chałupie była część gastronomiczna, w baraku sale noclegowe. Ów barak rozebrano pozostawiając góralską chałupę służącą jako bufet do chwili pożaru.

PS. Jest problem. Media podają, że strażacy dowożeni przez GOPR (Na facebooku GOPR ktoś zakwestionował udział GOPR w pomocy strażakom. Jak było naprawdę?) mieli do dyspozycji tylko jeden hydrant. Czy to nie za mało, jak na tak duży obiekt? Nie wierzę, że przy schronisku jest tylko jeden hydrant, nikt nie dopuściłby takiego dużego budynku do użytkowania. Co ciekawe, samochody bojowe strażaków nie mogły dojechać na Halę, tymczasem do pożaru schroniska na Przehybie (17.12.1991 r.) strażacy przyjechali ówczesnymi wozami bojowymi „M-ki” Jelcz. No tak, powie ktoś, że jechali drogą od Gołkowic, a tu tylko gruntówka zasypana śniegiem. Połączenie niemożności dojazdu strażaków i jednego hydrantu budzi moją obawę o przyszłość schroniska na Miziowej.



Prawdziwe dawne schronisko na Hali Miziowej

A w górze – Swanecja!

Tytuł powyższy przewrotnie nawiązuje do wspominanej już kiedyś przeze mnie („W górę Inguri”, NS nr 3/2018) książki Aleksandra Kuzniecowa pt. „A w dole Swanecja”. A więc wracamy do Gruzji, która staje się coraz popularniejsza wśród naszych rodaków!

Dlaczego „w dole”? Bo Kuzniecowa dotarł do Swanecji „od góry”, od północy, przekraczając główny grzbiet Kaukazu: *Przed nami zejście na lodowiec Lekzyr, na prawo pionowe ściany masywu Ułłu-tau, na lewo – zbocza dochodzące do wierzchołka Miestia-tau. Za plecami Bałkaria, a w dole – Swanecja.* Podobnie opisał swój pierwszy kontakt ze Swanecją (mniej więcej w tym samym czasie, czyli w połowie lat 60. ubiegłego wieku) nasz alpinista i znany filmowiec Szymon Wdowiak. Ujrzał ją z wysokości 4 tys. metrów, z okraju gigantów Muru Bezingi: *Gdzieś w dole, dokąd szerokimi jęzorami spływa lodowiec Canner, leży legendarna kraina Swanecja. (...) Najbardziej górską krainą Gruzji. Kotlina ze wszystkich stron opasana łańcuchami gór. Na północy mur Wielkiego Kaukazu, na południowym wschodzie Góry Swaneckie, na zachodzie Góry Kodorskie („Swanecja, kraina za górami”, „Poznaj Świat” nr 2/1966).*

A dlaczego „w górze”? To zrozumiałe: ta wspaniała kraina leży w północnej Gruzji, wysoko pod grzbietami Wielkiego Kaukazu, w górze doliny Inguri i jej dopływów. Otoczona łańcuchem czterech i pięciotysięczników, skutych licznymi lodowcami i opiętych wielkimi polami firnowymi, wydaje się niknąć gdzieś w dole pomiędzy nimi. Ale to złudzenie! Mestia, główny ośrodek osadniczy Górnej Swanecji (dla Gruzinów: *Zemo Swaneti*, od 1996 r. na liście światowego dziedzictwa UNESCO), leży na wysokości



Mestia stara...



...i nowa (ale nie do końca!)

ok. 1500 m n.p.m., najwyższe wioski sięgają wysokości 2250 m n.p.m., a nasza długa droga do nich, doliną Inguri, wiodła cały czas do góry!

Naturalna izolacja krainy pozwoliła zachować Swanom tradycyjny ustrój rodowy, stroje i zwyczaje praktycznie aż do lat międzywojennych XX w. Jeszcze w latach 50. na targi w podgórskim Zugdidi przyjeżdżali konno starzy Swanowie z okrągłymi, kutymi tarczami i krótkimi mieczami przytroczonymi do siodła. Swanów zawsze było niewielu (w 1970 r. raptem 18 tys.), ale uchodzą oni za naród odważny, dumny i gościnny. Nigdy nie byli niczymi poddani: dopiero w 1858 r. Swanecja uznała – dość zresztą formalnie – zwierzchnictwo Rosji, po to tylko, by uniknąć zalewu tureckiego i przymusowej islamizacji. Swanowie są prostolinijni i uprzejmi, a ich język podobno w ogóle nie zna przekleństw ani słów obraźliwych. Są zdolnymi kowalami, płatnerzami i jubilerami. Nie udało mi się już ujrzeć żadnego Swana w czerkiesce (po swanecku – *czo-cha*) z ładownicami na piersiach i z kindząłem o bogato zdobionej rękojeści za pasem, ale wiele kobiet do dziś nosi tradycyjną złotą biżuterię odziedziczoną po przodkach. Mężczyźni wkładają jeszcze dość często tradycyjne, szare lub białe, filcowe czapeczki – *swanki* (skądinąd – podstawowy wyrób „przemysłu pamiątkarskiego”, dostępny w kramach chyba we wszystkich turystycznych ośrodkach Gruzji). Starsze kobiety – w większości – noszą czarne ubiory, będące symbolem silnie tu jeszcze zakorzenionej dożywotniej żałoby po stracie najbliższych.

Mestia – podobnie jak nasze Zakopane – składa się z szeregu dzielnic, które rozwinęły się z dawnych osiedli rodowych. Najważniejsze z nich to Łanczwali, Łagami, Łachtagi i Seti. Do jednego rodu należało około 30 domów, zwanych tu „dymami” – łącznie od 200 do 300 osób. Każde osiedle ma swą cerkiew (lub i dwie): Łanczwali – *Taringzel* (Świętych Apostołów), Łagami – *Mcchwar* (Zbawiciela), Łachtagi – *Natumcwel* (Jana Chrzciciela) i *Łamaria* (Matki Boskiej) oraz Seti – *Dżgrag* (św. Jerzego). Seti jest najważniejsze, tak jak najważniejszą świątynią jest Dżgrag, gdzie co roku w lipcu obchodzone są uroczystości *Święta Lwa*. My znajdujemy lokum w jednym z nowych pensjonatów w samym centrum Mestii, dosłownie 5 minut od centralnego placu miasteczka.

Rankiem, przy pięknej, słonecznej pogodzie, ruszamy zobaczyć prawdziwy Kaukaz. Naszym bussem podjeżdżamy 9 km w górę doliny Mestiaczała. Trwają tu akurat prace budowlane związane z zamiarem ujęcia wód rzeki w zamknięty kanał, którym skierowane zostaną do niewielkiej elektrowni. Uzupełni ona znacząco braki energii, dające się we znaki w szybko rozwijającej się Mestii. Pozostawiamy nasz pojazd wśród spychaczy i koparek, po czym wiszącą kładką przeprawiamy się przez główny tok rzeki i ruszamy w górę jej dopływu.

Wygodna ścieżka wiedzie początkowo przez las, którego podłoże tworzy wielkie, stare rumowisko mocno omszałych już głazów. Rosną tu świerki, sosny, jawory. Wyżej jednak zaczynają dominować brzozy, które w miarę wznoszenia się wyraźnie karłowacieją i przybierają formy krzaczaste. Górna granica lasu przekracza tu czasami poziom 2500 m n.p.m. Jeszcze wyżej rozciągają się wielkie hale, przetykane łańcami rododendronów. Ścieżka zbliża się do rzeki: jej mętne wody, pieniające się wśród głazów, budzą respekt! Wkrótce znikają i rachityczne brzozy. Polodowcowa, „U-kształtna” dolina obejmuje nas wysokimi wałami dawnych moren brzeźnych, jeszcze nieskolonizowanych przez roślinność. Zaś przed nami pojawia się rzeźbiarz, który przez tysiące lat dolinę tę formował: lodowiec Czalaati.

Czoło lodowca, wysokie na kilkanaście metrów, ma brudnobrązową barwę: przysypane jest



Dwuwierzchołkowa Uszba (po lewej). W sierpniu 2017 r. zupełnie bezśnieżna!

warstwą ziemi i rumoszu skalnego moreny wierzchniej. Z jednej strony izoluje to nieco powierzchnię lodu od otaczającego ciepła atmosfery, jednak z drugiej strony ciemna barwa moreny absorbuje znacznie więcej ciepła z promieni słonecznych niż czysty, biały lód. Dlatego lodowiec topnieje intensywniej. Po jego czole spływa cała sieć strumyków, które wąskimi kaskadami spadają wprost do mętnej rzeki wypływającej spod jęzora. Co chwilę, z głuchym grzechotem, lecą wśród nich kamienne lawinki lub pojedyncze głazy, wytopione promieniami słońca, które wznosi się coraz wyżej po bezchmurnym nieboskłonie.

Śmigające kamienie skutecznie zniechęcają do bliższego kontaktu z cieleśkiem lodowca. Napawamy się więc widokami, fotografujemy jęzor, spienioną rzekę i otaczające nas góry. Eh, pójść wyżej, za załom doliny! Stamtąd powinna być już widoczna Uszba! Niestety – plan wycieczki jest sztywny, a czas biegnie tu jakoś wyjątkowo szybko! Wracamy. A Uszbę jeszcze ujrzymy!

Pod wieczór siedzimy na tarasie jednej z restauracyjek, jakich coraz więcej powstaje w centrum Mestii. Niektóre jeszcze pachną świeżym drewnem, z którego dopiero co zbudowano ich tarasy. Prawie we wszystkich tłoczno! Obok nas przy stoliku kilkoro młodych ludzi rozmawia po angielsku, z drugiej strony starsze małżeństwo turystów – po niemiecku. Są Rosjanie, Koreańczycy, Turcy, nawet ortodoksyjni Żydzi z Izraela. No i Polacy – bodaj czy nie najliczniejsi! Jezdnią przemykają samochody – zwykle z napędem na obie osie, liczne busy – jeden z podstawowych tu środków transportu publicznego, często motocykliści „opancerzeni” w czarne skóry. Po drugiej stronie ulicy jest czynny do późna sklep spożywczy, apteka, salon fryzjerski.

Mestia zmienia się błyskawicznie. Kto uwierzy, że pierwszy samochód pojawił się tu dopiero w latach 30. ubiegłego wieku? Wtedy bowiem wybudowano drogę, którą pojazd kołowy był w stanie tutaj dotrzeć. Jaka ta droga musiała być wówczas – mogliśmy sobie wyobrazić po jej pokonaniu dziś! Starzy Swanowie, którzy nigdy nie opuścili swojej doliny, nie znali nawet wozu – transport zapewniały im przez okrągły rok drewniane sanie zwane *marchilo*, ciągnięte przez woły. Zaprzęgi takie były tu powszechne jeszcze w latach 60. i 70. Przywołany wyżej A. Kuzniecowa przytoczył w swej książce zabawną historyjkę, jak to swanecki staruszek położył przed tym pierwszym samochodem, który zatrzymał się w Mestii, wiązkę siana i był wielce zawiedziony, że ów „żelazny wół” nie chciał się nią posilić!

Ale!... Właśnie dojadaliśmy kolację, gdy na ulicy pojawiły się trzy niewielkie, ostrorogie krowy. Szły, wymijając samochody, wolno, ale pewnie ku domowi, ku wieczornemu udojowi. Po chwili przemaszerował starszy, wąsaty gospodarz z kolejnym stadkiem bydła, nic sobie nie robiąc z filmujących go Koreańczyków. Kiedy o zmroku wracamy do naszego pensjonatu, z mijanego baru dobiegają nas dźwięki takiej samej muzyki techno, jaką o tej porze usłyszymy w lokalach od Nowego Jorku po Tokio. Stara wieża obronna podświetlona jest nie gorzej niż nasz Wawel. Jednak rzeka w dole szepcze bystrą falą jakoś tak starodawnie... Przed nami suną przez most dwie ciemne, zupełnie niewspółczesne postacie – to brodaci mnisi z klasztoru na stoku. Po drugiej stronie drogi mijają nas czarne, włochate świnki (zupełnie takie, jak w opisie Sz. Wdowiaka sprzed z górą pół wieku!), ubrane w trójkątne, drewniane chomąta. Świnki samopas na ulicy – to tutaj wciąż widok normalny, a takie chomąta zakłada się trzodzie, by przez dziury w płocie nie włąziła w uprawy. Więc może jeszcze nie wszystko stracone?...



Spod czoła lodowca Czalaati wypływa prawdziwa rzeka

Mirosław J. Barański

Jubileusz 90-lecia Ligi Ochrony Przyrody

W piątek 14 grudnia 2018 roku w ośrodku edukacyjnym Karkonoskiego Parku Narodowego w Szklarskiej Porębie odbyła się uroczystość jubileuszu 90-lecia Ligi Ochrony Przyrody.

Oczywiście jubileusz dotyczył LOP w skali krajowej. W naszym regionie wygląda to nieco inaczej. Nie umniejszając jednak znaczenia istnienia organizacji zajmującej się działaniami na rzecz ochrony przyrody, obiektywnie trzeba stwierdzić, że oddział LOP na Ziemi Jeleniogórskiej jest jednym z najprężniejszych w całym kraju.

Wiadomo, że w ostatnich czasach wszelkie organizacje społeczne, ze względu na brak finansowania, przeżywają kryzys. Jednak od tej reguły są wyjątki. I właśnie takim wyjątkiem jest oddział LOP, który obecnie swoją siedzibę ma w Piechowicach. Wynika to z zaangażowania działaczy, którzy od wielu lat pracują dla organizacji społecznie, poświęcając swój wolny czas, ale także czyniąc to kosztem swoich rodzin. Taka jest niestety prawda.

W naszym regionie osobą zajmującą się sprawami ochrony przyrody w ramach LOP jest mieszkaniec Piechowic Zdzisław Gasz. Dodam, że nadano mu tytuł honorowego obywatela tego miasta. To dobrze, bowiem świadczy o tym, że chociaż najbliżsi sąsiedzi Zdźicha wiedzą, iż jest osobą wyjątkową. To człowiek, który nie szczędzi sił, by poprzez działania na rzecz ochrony przyrody uwrażliwiać na nie dzieci i młodzież szkolną. Dlatego też organizuje, oczywiście we współpracy z innymi, wiele imprez, wycieczek czy konkursów skierowanych do młodzieży. Dzięki temu dzieci nie tylko działają na rzecz ochrony przyrody, ale także uświadamiają o tej konieczności innych, nawet swoich bliskich.

Oddział LOP pod wodzą Zdzisława Gasza działa niezmiennie od kilku dekad i w tym czasie zorga-

nizował wiele konkursów dla młodzieży, w których wzięły udział dziesiątki tysięcy uczestników. I nie ma w tych słowach żadnej przesady. Faktycznie w każdym z wielu konkursów brało udział po kilkanaście tysięcy uczniów. Zatem praca działaczy Ligi Ochrony Przyrody w Piechowicach jest wyjątkowa.

Na spotkaniu jubileuszowym wręczono wiele wyróżnień i nagród zwycięzcom poszczególnych eliminacji ale



także uhonorowano wieloma wyróżnieniami i odznaczeniami, w tym państwowymi, zasłużonych działaczy LOP. Gościny udzielił nam Karkonoski Park Narodowy, a dyrektor Parku Andrzej Raj zobowiązał się do dalszej współpracy z LOP oraz do wspierania finansowego jego działalności w przyszłym roku.

Działalność organizacji działających na zasadach pracy społecznej jest niezwykle ważna, dodam zatem, że praca i starania Zdzisława Gasa zostały dostrzeżone – wyróżniono go najwyższym odznaczeniem Ligi Ochrony Przyrody „Zielone Serce Przyrodzie”.

Nie mniej ważnym wyróżnieniem został uhonorowany długoletni działacz LOP Józef Szafrąński. Przyznano mu tytuł Honorowego Członka LOP.



Krzysztof Tęcza

Posiedzenie Delegatury Sudeckiej w Wałbrzychu

W sobotę 12 stycznia 2019 roku w Wałbrzychu miało miejsce posiedzenie Delegatury Sudeckiej KTG ZG PTTK. Na spotkanie wybrano Dom Turysty Harcówka. Nie był to przypadek. Obiekt ten, bardzo popularny w minionych latach, znajduje się w końcowej fazie remontu. Oddana jest już część gastronomiczna, która spełnia oczekiwania przybywających tu turystów. Sam budynek usytuowany na Górze Parkowej pozwala podziwiać przepiękne i bardzo rozległe krajobrazy. Widać stąd także zabudowę miasta. Obiekt ten jest własnością PTTK.

Członkowie Delegatury Sudeckiej spotkali się, by przedyskutować sprawy niezwykle istotne, zarówno dla samego Towarzystwa, jak i dla przeciętnych turystów. Chodzi o wytyczanie nowych szlaków, ich bieżące utrzymywanie i konserwowanie, a także kasowanie starych, nieużywanych już szlaków turystycznych na terenie Sudetów. W ostatnich latach odnowiono lub wytyczono na naszym terenie setki kilometrów górskich szlaków turystycznych, zarówno pozyskując na ten cel pieniądze z ministerstwa, jak i wykorzystując środki poszczególnych gmin. Oczywiście szlaki były wytyczane w standardzie PTTK, czyli najbardziej czytelnym dla przeciętnego turysty.

Ze względu na duży obszar, jaki podlega poszczególnym Oddziałom PTTK, musimy jak najszybciej podejmować decyzje związane z utrzymaniem szlaków. Trzeba jednak pamiętać, że nie wystarczą tylko dobre chęci, aby utrzymać szlaki turystyczne na określonym poziomie. Wszystkie prace związane ze szlakami, począwszy od projektu poprzez ich wytyczenie w terenie, a kończąc na wieloletnim utrzymaniu, wymagają środków finansowych, które trzeba skądś zdobyć. PTTK od wielu lat ma wypracowane możliwości pozyskiwania takich środków i stale z tego korzysta. Jednak realia się zmieniają i musimy zdać sobie sprawę, że w związku z rosnącymi cenami niemalże na wszystko, nie da się utrzymać poziomu płacy za wytyczanie i konserwację szlaków na niezmiennym od lat poziomie. W końcu szlaki malują przeszkoleni ludzie. Kadra znakarska PTTK to bardzo dobrzy fachowcy, którzy ukończyli stosowne szkolenia i posiadają uprawnienia do wykonywania swojej pracy. Od jakiegoś czasu, wskutek utrzymywania cen na jednym poziomie, nie tylko praca stała się dla nich nieopłacalna, ale często nawet dopłacali do niej. Tak być nie może, bo w końcu okaże się, że nie mamy chętnych do tak niewdzięcznej pracy. Dlatego postanowiliśmy wystąpić o urealnienie podstawowej stawki płacy dla znakarzy. To po pierwsze. Po drugie podjęliśmy decyzję o zorganizowaniu kolejnych szkoleń dla nich,



bowiem ludzi chcących wytaczać szlaki turystyczne jest coraz mniej. Oczywiście mówimy tutaj o osobach posiadających odpowiednią wiedzę i przeszkolenie w tym zakresie. W ostatnich czasach mnoży się liczba osób i firm spoza PTTK, które podejmują się malowania szlaków i nie zawsze standard tych prac jest dobry.

Jeśli chodzi o Sudety, to niestety w związku z likwidacją Oddziału PTTK w Lwówku Śląskim teren mu podległy

został praktycznie pozbawiony dalszych efektywnych prac znakarskich. Dlatego na naszym zebraniu podjęliśmy decyzję o powołaniu drugiej grupy znakarzy przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze, która wraz z grupą legnicką zajmie się tym obszarem. Mamy nadzieję, że pozwoli to na utrzymanie szlaków na odpowiednim poziomie. Aby nowi znakarze mogli podjąć pracę w terenie, oczywiście najpierw zostanie dla nich zorganizowane stosowne szkolenie i egzaminy. Dopiero wtedy będą mogli samodzielnie, początkowo pod czujnym okiem doświadczonych znakarzy, malować kolejne szlaki turystyczne. Najważniejsze jest to, że zgłosili się chętni do tej ciężkiej pracy.

Oprócz poruszenia spraw znakarskich, podczas spotkania podjęto decyzje dotyczące terminów organizacji w najbliższych miesiącach imprez górskich na naszym terenie. Najważniejsza sprawa to zorganizowanie Międzynarodowego Sympozjum Naukowego „Ziemia Kłodzka w kulturze, architekturze, przyrodzie” 16–17 listopada tego roku. Nie mniej ważną sprawą jest organizacja w dniach 18–20 października 2019 roku Złotu Przodowników Turystyki Górskiej oraz Biwaku Zimowego, który zaplanowano w terminie od 30 marca do 1 kwietnia.

Ponieważ dyskutowane sprawy są niezwykle istotne dla turystyki górskiej, na nasze posiedzenie przybył prezes ZG PTTK Jacek Potocki, który zaproponował podjęcie prac przy utworzeniu wspomnianej drugiej grupy znakarzy. Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie w dobrym kierunku i na kolejnym spotkaniu będziemy mogli pochwalić się zarówno powołaniem nowej grupy znakarzy, jak i zorganizowaniem dla nich kursu oraz egzaminów zakończonych wydaniem odpowiednich uprawnień kadry znakarskiej.

Krzysztof Tęcza

Wiceprzewodniczący Delegatury Sudeckiej

Przewodnicy sudeccy w podziemiach jeleniogórskich

Czwartkowy wieczór, 20 grudnia 2018 roku, był dla Jeleniej Góry wyjątkowy. Najpierw o godzinie 11 przybyli do jeleniogórskich podziemi dziennikarze, którzy mogli poznać nową atrakcję, o jaką wzbogaci się miasto. Później do podziemi zjechało ponad 60 przewodników sudeckich z Koła Przewodników działającego przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Zostali oni zaproszeni na pierwsze szkolenie przewodnickie zorganizowane w tym miejscu przez prezesa Oddziału PTTK i firmę Arado – dzierżawcę podziemi.

Wbrew pozorom spotkanie to było bardzo ważne – ze względu na fakt, że to właśnie nasi przewodnicy będą przybywali do podziemi z grupami turystycznymi i dlatego muszą wiedzieć, co mogą zaoferować uczestnikom wycieczek. Dzięki wieloletniej, podkreślam, wieloletniej współpracy pomiędzy Oddziałem PTTK „Sudety Zachodnie” i Arado takie spotkanie było możliwe.

Jak wiadomo, podziemia jeleniogórskie, niedostępne od końca II wojny światowej, zawsze były miejscem tajemniczym, które wszyscy chcieli zobaczyć. Nie było to jednak możliwe. Obiekt ten w zasadzie był

nieprzerwanie niedostępny. Co prawda przez jakiś czas znajdowały się tu magazyny rybne, później dyskoteka, jednak dotyczy to tylko jednej części podziemi, tej przynależnej do siedziby Ligii Obrony Kraju. Podziemia, a właściwie piwnice zostały zbudowane w połowie XIX wieku na potrzeby powstałej na wzgórzu restauracji „Skalna Piwnica” – bardzo wówczas popularnego miejsca spacerów jeleniogórczan. Wiadomo było, że w upalne lato każdy mógł liczyć nie tylko na piękne widoki z tarasu restauracji, ale też na podanie piwa czy wina o od-



powodniejszej temperaturze, którą zapewniały wspomniane piwnice będące magazynami restauracji. I to one są właściwymi podziemiami rozpalającymi naszą wyobraźnię. Zresztą każdy, kto tutaj zajrzy zobaczy, że obiekt ten jest zbudowany z kamiennych ponumerowanych bloków tworzących sklepienia nad trzema sporej wielkości salami. Właśnie te trzy sale zostały wykorzystane przez firmę Arado na potrzeby przedstawienia historii związanych z naszym miastem. No, może nie dosłownie, ale jest to początek przedstawiania ciekawych wydarzeń związanych z Jelenią Górą i okolicą. To właśnie tutaj przygotowano salę, w której turyści będą mogli napić się herbaty czy kawy oraz nabyć pamiątki i przewodniki. Także tutaj przygotowano toalety. Może nie jest to ciekawy temat, ale w każdym obiekcie takie miejsce jest potrzebne, zwłaszcza gdy dostosowano je dla osób niepełnosprawnych.

Druga sala została wykorzystana do przedstawienia jednego eksponatu. Jest nim cewka Tesli. To niesamowite urządzenie, skonstruowane na potrzeby tego obiektu, wytwarza napięcie rzędu ponad miliona woltów, co pozwala na wytwarzanie piorunów biegających po ścianach. Oczywiście wszystko zostało tak zabezpieczone, że nikomu nie może wydarzyć się krzywda. Niemniej osoby posiadające rozruszniki serca, aparaty słuchowe czy wszelkiego rodzaju pompy, będą proszone o zbytnie niezblizanie się do tego urządzenia. W pomieszczeniu ustawiono ławeczki, by każdy mógł spokojnie wsłuchać się i wpatrzeć w to mistyczne przedstawienie. Piszę „wsłuchać” – co może здаwać się dziwne – gdyż prąd wytwarzający pioruny tworzy swoją własną muzykę. Ta cewka jest wyjątkowa, bo oprócz tego, że jest w tej części Europy największą udostępnioną dla ruchu turystycznego, to jeszcze można „poprosić” ją o konkretną melodię.

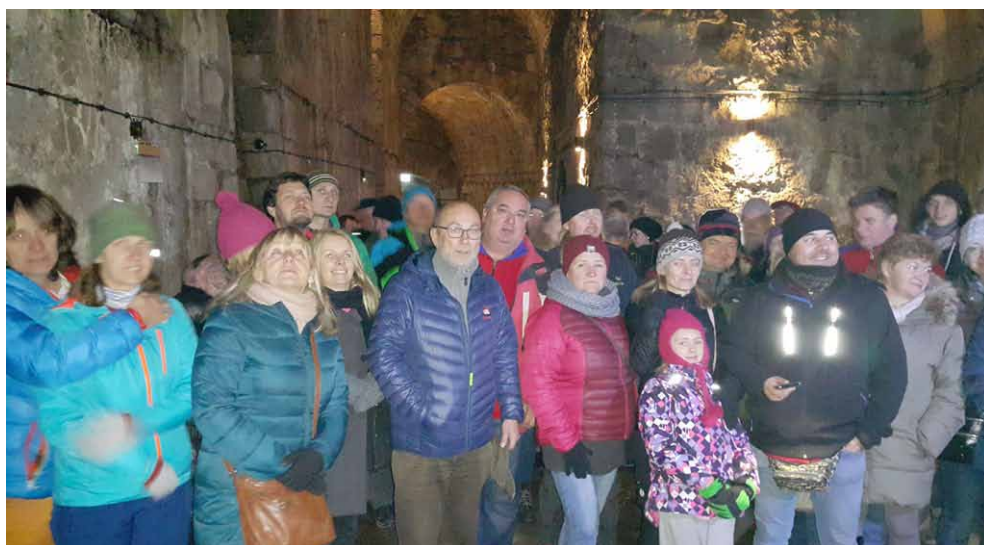
Trzecia sala w piwnicach została przerobiona na stację kolejową. Znajduje się w niej peron oraz stojący na torach, a właściwie wyjeżdżający z tunelu niemiecki pociąg pancerny, znany jako „złoty pociąg”. To nim przewożono w nasze tereny depozyty z banków wrocławskich. Właśnie te depozyty, nieodnalezione do dziś, rozpalają wyobraźnię poszukiwaczy skarbów. Na peronie stoją skrzynie ze sztabami złota, jednak są one dobrze strzeżone i nie warto podejmować prób ich zawłaszczenia.

Właściwe podziemia w Jeleniej Górze zaczęto drążyć w roku 1944. Władze niemieckie postanowiły wydrążyć tunele w granitowym Wzgórzu Kościuszki (oczywiście podają nazwę obecną) tak, by przygotować schrony lotnicze na kilkaset osób. Ponieważ Niemcy dysponowali nieograniczoną siłą roboczą, jaką stanowili więźniowie obozu Gross Rosen, rozpędzili się tak, że w rezultacie wydrążyli ponad 4 kilometry podziemi mogących pomieścić ponad 6 tysięcy ludzi. Na szczęście dla Jeleniej Góry front przeszedł bokiem i podziemia te nigdy nie były wykorzystane do celu, w jakim je stworzono.

Nową część podziemi połączono z piwnicami za pomocą żelbetowego tunelu. Dzisiaj firmą Arado wykorzystano obie części podziemi wydzierżawione od miasta na 25 lat, by stworzyć ciekawą atrakcję turystyczną. W związku z faktem, że cewka Tesli ma niewiarygodnie wielką moc, postanowiono wykorzystać ją do otwarcia bram czasu przenoszących nas w kolejne ramy czasu, które posłużą do pokazania wielu ciekawych i ważnych dla miasta i regionu wydarzeń historycznych.

Na początku musimy znaleźć przejście do poprzednich czasów. Nie jest to wcale takie proste, jednak dociekliwość odwiedzających to miejsce wystarczy, aby je odkryć. W wykute w granicie korytarze wchodzimy przez dębową szafę stanowiącą pierwszą bramę czasu. Kolejne bramy przywodzą na myśl „Gwiezdne wrota”.

Wchodząc do wykutych w granicie korytarzy od razu czujemy inny klimat. Jest tutaj inna wilgotność, ale także mamy zupełnie inne wrażenia. Dopiero teraz czujemy, że jesteśmy w prawdziwych podziemiach. W dodatku zaraz po wejściu widzimy ogromną postać przedstawiającą Ducha Gór. Wita nas przyjaźnie informując



jednak, żebyśmy mieli się na baczności i nie próbowali z nim pogrywać, bo wtedy się zdenerwuje i zemści na nas srodze. Tak naprawdę to my, maluczcy, nie mamy najmniejszych szans w starciu z Karkonoszem, dlatego musimy zważać na słowa i zachowanie. Karkonosz nie lubi cwaniaczków i potrafi dać im to odczuć.

Dalej przechodzimy do kolejnych bram przenoszących nas w czasy Walonów, którzy przybywali w Góry Ol-

brzymie w poszukiwaniu skarbów. Oczywiście nie takich, o jakich myśli przeciętny człowiek. Dla nich skarbami były nie tylko drogocenne kamienie czy złoto, ale, a może przede wszystkim, wszelkie kopaliny. Rudy metali wydobywane spod ziemi przynosiły największe bogactwo, w związku z tym powstawały wtedy tzw. wędrujące huty szkła. Wędrujące, gdyż wykorzystywały surowce dostępne na danym terenie, a gdy te się kończyły, huty przenoszono o kilka kilometrów dalej. Tańsze bowiem było przeniesienie zakładu niż transport potrzebnych surowców.

Kolejna brama przenosi nas w czasy działalności laborantów czyli zielarzy, którzy potrafili czerpać z wiedzy o ziołach i różnych roślinach, jakie można było znaleźć w naszych górach. Wiedza ta stwarzała bardzo silną konkurencję finansową dla ówczesnych medyków, laboranci nie byli więc zbyt lubiani. I gdy zmarł ostatni laborant, świat medycyny odetchnął z ulgą.

Tak dla rozpalenia wyobraźni dodam tylko, że najbardziej poszukiwaną w tamtych czasach rośliną była mandragora. Jej korzeń miał właściwości lecznicze pozwalające uleczyć właściwie każdą chorobę, dlatego cena jego była niebotyczna. Opłacało się zatem wyruszać na bardzo niebezpieczne wyprawy w celu jego pozyskania. Piszę „niebezpieczne”, gdyż najgorszym, co mogło spotkać śmiałka chcącego zdobyć korzeń mandragory, była śmierć. I wcale nie była to rzadka sprawa. Korzeń mandragory, swoim kształtem przypominający człowieka, gdy go wrywano wrzeszczał tak przeraźliwie, że wszyscy, którzy słyszeli ów krzyk, umierali. Co przebieglejsi wykorzystywali do jego pozyskiwania psy. Wiązano jeden koniec sznurka do psiego ogona, a po przymocowaniu drugiego końca do mandragory podsuwano psu jakiś przysmak. Ten, goniący za nim, wrywał korzeń i oczywiście usłyszawszy jego krzyk – kończył żywot. Przez długi czas był to jedyny sposób „bezpiecznego” pozyskiwania korzenia mandragory. Na szczęście medycyna poszła nieco do przodu i dzisiaj nikt już nie szuka tej rośliny.

Ziemia Jeleniogórska była areną wielu bitew. Niejednokrotnie przez dziesiątki lat toczyły się tutaj wyczerpujące wojny. Z tego powodu w jednym z przedziałów czasowych przedstawiono żołnierzy pruskich walczących z wojskami francuskimi. Były to czasy niezwykle, w których ważne były zarówno poświęcenie samych żołnierzy, jak i właściwe wykorzystanie strategii. Dlatego w jednej z bram czasu pokazano żołnierzy przybyłych z Fortu Srebrna Góra.

Na koniec nasi przewodnicy dotarli do miejsca, w którym, chyba jako w jedynym w regionie, mogli bezkarnie namazać coś na ścianie. Jest tu bowiem chodnik, na ścianach którego w czasie II wojny światowej położono farbę zmieniającą się pod wpływem światła. Oczywiście ślady zanikają po pewnym czasie.

Chodniki wyryte w granitowym wzgórzu mają, jak już wspomniałem, długość ponad 4 kilometrów, na razie udostępniono dopiero połowę z nich. Dalsze odcinki będą udostępniane sukcesywnie w miarę budowy kolejnych bram czasu. Myślę jednak, że na początek to wystarczy. Nasi przewodnicy spędzili tu ponad dwie godziny i, wbrew naszym obawom, wcale nie mieli dosyć. Niemniej, dbając o ich zdrowie, wyprowadziliśmy ich na powierzchnię zapraszając do powrotu w przyszłość.

Chciałbym w tym miejscu podziękować zarówno właścicielom firmy Arado, jak i dyrektorowi jeleniogórskich podziemi za umożliwienie zwiedzenia obiektu jeszcze przed oficjalnym jego otwarciem i zapewnić, że Oddział PTTK „Sudety Zachodnie”, tak jak czynił to do tej pory, będzie współpracował w dalszych pracach mających na celu udostępnianie ogółowi wiedzy o historii Jeleniej Góry.

Krzysztof Tęcza

Skoczek na sznurku

Mówili o Nim „Profesor Długiej Polany”, a gdy postanowił wrócić z Warszawy na Podhale, to „Przegląd Sportowy” opatrzył artykuł tytułem: „Porzucił Stolicę dla Podhala”. Sam o sobie mówił „skoczek na sznurku”! Franciszek Takuśki mieszkał w Nowym Targu, był inwalidą z trudem przemieszczającym się o kulach po mieszkaniu i chorującym na stwardnienie rozsiane. Jednak na przekór dolegliwościom tryskał energią, humorem i pomysłami.

Skoczek na sznurku? Tajemniczo i trochę dziwnie to brzmiało, ale jak to w życiu bywa, sprawa była prosta. Inż. Jerzy Muniak z Politechniki Krakowskiej, projektant i budowniczy małych skoczni narciarskich, musiał określać ich parametry techniczne. Dysponował aparaturą przypominającą wyglądem bęben. Urządzenie ustawiano na rozbiegu skoczni, a zadaniem mechanizmu było ustalenie jej parametrów. Bez udziału skoczka taka aparatura na nic by się nie zdała. Dlatego inżynier zwracał się do skoczków o pomoc w pomiarach, ale jak to często bywa, chętnych brakowało.

Franciszek Takuśki, jako mistrz powiatu i województwa, takich obiekcji nie miał i pozytywnie odpowiadał na prośbę projektanta. – *Wiązał mi sznurek u paska z tyłu, a ja wtedy – już poza konkursem – skakałem raz, czasem dwa lub więcej i w ten sposób uruchamiałem aparaturę, która sporządzała wykres i dokonywała pomiaru szybkości w metrach na sekundę. Po przeliczeniu wychodziły dane w kilometrach na godzinę. Pomiaru mówiły o każdej fazie skoku: od ruszenia, przez najazd, odbicie, pierwszą i drugą fazę lotu, po lądowanie i wybieg* – opowiadał Franciszek Takuśki. – *Inni skoczkowie nie lubili takich skoków i odmawiali, a ja obskakiwałem prawie wszystkie skocznie inż. Muniaka i przez to stałem się jego przyjacielem.*

W ten sposób Franciszek Takuśki – jako doświadczony skoczek – ustanawiał pierwsze rekordy tych skoczni, dość wyśrubowane, jak sam mówił. Przez długie lata pozostawały niepokonane. Tak było ze skoczniami w Nowym Targu, Myślenicach, Ptaszkowej koło Nowego Sącza, Rajczy, Szczawnicy i Rabie Wyżnej. Z okazji otwarcia tych skoczni organizowane były uroczyste zawody. Zapraszano na nie zawodników z wyższej klasy, w tym przede wszystkim z Zakopanego. Franciszek Takuśki najdłuższy swój skok, bo liczący 42,5 m, oddał na skoczni w Szczawnicy, w Rabie Wyżnej osiągnął 42 m, w Rajczy 40 m, w Myślenicach 38 m, a w Ptaszkowej 37 m. Skocznię w Szczawnicy wspominał z wyrażoną sympatią. – *To była skocznia na zboczu Palenicy, miała dobrze zrobiony*



Franciszek Takuśki z żoną Romaną, Nowy Targ 24.02.2006 r.

próg, bezpieczny zeskok, dobry wybieg; można było daleko pojechać, spokojnie wykręcić. Teren był bardzo ładny, a sama skocznia przyjemna.

Skocznia na Palenicy otwarto w 1958 roku, prawdopodobnie w marcu. Podczas uroczystego konkursu Franciszek Takuś ustanowił rekord długości skoku: 42,5 m. W tym samym roku miał poważny wypadek drogowy na motocyklu, po którym przestał skakać.

Jakie były początki kariery „skoczka na sznurku”? Urodził się 27 lipca 1930 r. w Starym Bystrem. Do gimnazjum chodził w Poroninie, skąd miał blisko do Zakopanego i dlatego bywał na wszystkich zawodach. – *Jestem góralem – mówił z wyraźną dumą. – Moja matka była z Zębu, najwyżej położonej wioski na Podhalu. Mój tata Stanisław był głównym dostawcą jesionów dla Stanisława Zubka, który produkował słynne wówczas narty w Zakopanem. Byłem członkiem Związku Podhalan i skrzypkiem w muzykach. Brałem z ojcem udział w powitaniu na Okęciu pierwszej wielkiej wycieczki Podhalan ze Stanów Zjednoczonych.*

Ponieważ bardzo lubił skoki, zapisał się do klubu SN PTT w Zakopanem. – *Klub mnie przyjął, dał mi skokówki i szkolił, ale nie wolno mi było skakać na dużej Krokwi, tylko na malej, na niej trenowałem – wspominał Takuś. Pamiętał pierwsze zawody na skoczni w Rabie Wyżnej, podczas uroczystego otwarcia. Było mnóstwo widzów. – Ja wtedy w wielkim strachu wystartowałem po raz pierwszy w zawodach i to na prawdziwych skokówkach. Skakałem w towarzystwie kolegów członków kadry narodowej – opowiadał pan Franciszek. – Tak się wystraszyłem i bardzo mocno odbiłem, że miałem najdłuższy skok, niemal na sam koniec zeskoku. Nie ustaleń jednak, podparłem się i wybiłem palec. Wtedy od starszych kolegów z kadry usłyszałem: „Chłopcze, aleś nas zaskoczył, z ciebie będzie wspaniały skoczek”.*

Szkołę średnią mechaniczną kończył w... Warszawie, bo na Podhalu szkoły o takim profilu nie znalazł. W stolicy miał kolegów, więc mógł podjąć tam naukę. Pochwalił się im, że jest skoczkiem narciarskim, nie wierzyli, aż zrządzenie losu sprawiło, że mógł się wykazać. W Warszawie na Agricoli istniała mała skocznia narciarska i poszukiwano skoczka, który by statystował w filmie. Decyzję podjął błyskawicznie. – *Pojechałem po skokówki na Podhale, całą noc jechałem w pociągu, a w drugą stronę wracałem ze skokówkami. Odałem kilka skoków dla filmu, rejestrowała je Polska Kronika Filmowa, bodaj – jeżeli dobrze pamiętam – była to kronika nr 21/52.*

W Warszawie poznał swoją przyszłą żonę, jako sławny „góralik” spodobał się rodzicom. Dalej uczył się wieczorowo, na życie zarabiał pracując w Głównym Urzędzie Statystycznym. Jednak zatęsknił za skokami i postanowił wrócić na Podhale. Wspominał swoje skoki na skoczni w Wiśle Malince, na której można było skakać na odległość 80 metrów. Zawodnicy nazywali ją „szubienicą” – rozbieg zbudowany był z drewna i nieprzyjemnie trzeszczała, przez co nasuwały się drastyczne skojarzenia. Na tej skoczni Takuś miał poważny wypadek, było to podczas zgrupowania skoczków LZS przed Mistrzostwami Polski. – *Pechowo wyleciałem, już nie spadłem na nogi tylko na głowę, straciłem przytomność – mówił i porównał swój upadek do podobnego – Zdzisława Hryniewickiego, na tej samej skoczni. „Dzidek” Hryniewicki – nadzieja polskiego narciarstwa, jedyny, który pokonał słynnego wówczas Niemca Helmuta Recknagela, miał mniej szczęścia, po wypadku pozostał mu wózek inwalidzki.*

Pan Franciszek nie poddał się, skakać już wprawdzie nie mógł, ale uczył narciarstwa zjazdowego. Jako instruktor pracował na Turbaczu dla klubu Cracovia, stąd Jego przydomek „Profesor Długiej Polany”. Wśród Jego uczniów był sam prezes klubu liczący sobie... 80 lat.

O swoim życiu związanym ze sportem opowiadał godzinami, może dlatego z taką pogodą ducha przyjmował swoje inwalidztwo i chorobę, potrafił panować nad ułomnościami.

Po ukazaniu się mojego artykułu o historii skoczni narciarskich w Pieninach w 2006 roku, sam sprokurował wywiad, zadzwonił do redakcji. Odbierając kartkę z Jego telefonem, usłyszałem od koleżanki: – *Kazał ci powiedzieć, że dzwonił „skoczek na sznurku”.* Gdy po raz pierwszy zadzwoniłem do Niego zapytałem, czy mam przyjemność rozmawiać ze „skoczkiem na sznurku”, od razu zdobyłem Jego ogromną sympatię. Wspominam Go tak ciepło, bo niedawno – grubo po fakcie – dowiedziałem się, że nie żyje, zmarł 9 lipca 2017 r. w wieku 87 lat, spoczął na podhalańskim cmentarzyku w Spytkowicach.

Nie ma już „skoczka na sznurku”, nie ma już skoczni, na których skakał, pozostał w mojej pamięci i może nie tylko mojej.

Ryszard M. Remiszewski

Jan Czerski

Jan Stanisław Czerski urodził się 15 maja 1845 r. w rodzinie szlacheckiej, w miejscowości Swołna koło Witebska. Ojciec zmarł wcześnie, wychowaniem syna i jego siostry zajęła się matka. Dzięki posiadanemu majątkowi ziemskiemu mogła zatrudnić nauczycieli do indywidualnej nauki dzieci. Gdy Jan podrósł, został przyjęty do szkoły zwanej carskim Instytutem Szlacheckim w Wilnie.

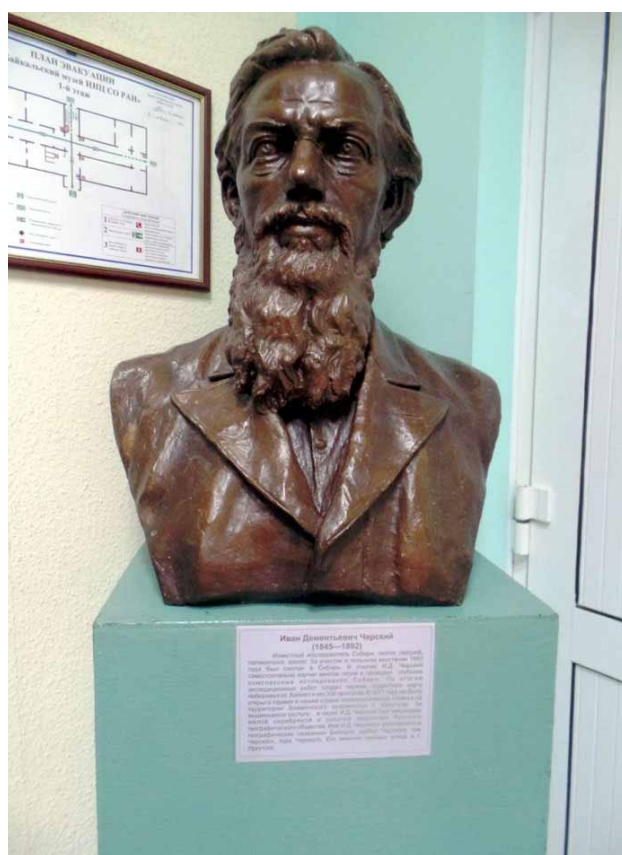
Podczas powstania styczniowego 18-letni młodzieniec wstąpił do powstańczego wojska, choć tylko kilka miesięcy pozostawało mu do matury. Po przegranej bitwie w kwietniu 1863 r. trafił do niewoli, a już po trzech miesiącach sąd wojenny skazał go na 6 lat służby w carskim batalionie karnym w Błagowieszczeńsku nad Amurem. Nieprzystosowany, trafił na trudne warunki bytu i służby wojskowej. Przeniesiono go do batalionu fortecznego w Omsku. Osłabiony, zachorował i znalazł się w szpitalu. Korzystając z pomocy polskiego środowiska zesłańców zaczął czytać książki i dokształcać się w zoologii, geologii i paleontologii. Zapoznał się z rosyjskim zesłańcem Georgijem Potaninem, przyszłym badaczem Syberii. Pod jego kierownictwem, podczas ćwiczeń w terenie żołnierz zbierał drobne okazy zoologiczne i je preparował.

Wątlemu zdrowotnie J. Czerskiemu w 1869 r. służbę wojskową zamieniono na osiedlenie w Omsku. Po 2 latach władze zezwoliły mu zmienić miejsce pobytu na znacznie większe miasto Irkuck. Poznał tam starszych od siebie zesłańców – Benedykta Dybowskiego i Aleksandra Czekańskiego, którzy byli już wówczas badaczami jeziora Bajkał i jego okolic. Dzięki Dybowskiemu znalazł zatrudnienie jako kustosz w muzeum Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Irkucku.

Na zlecenie IRTG odbył kilka wypraw w góry Sajana Wschodni i dolinę rzeki Irkut (1873–76), gdzie prowadził badania zoologiczne, paleontologiczne i geologiczne. Ale największy sukces naukowy przyniosły mu badania brzegów Bajkału (1877–80) i opracowanie mapy geologicznej terenu. Badał też doliny rzek Selenga i Dolna Tunguzka (1881–82). Sformułował tezę ewolucyjnego rozwoju reliefu i paleotektoniczny schemat ukształtowania Syberii. Jego praca naukowa została zauważona i doceniona przez Rosyjską Akademię Nauk, która nadała mu złoty medal.

W 1885 r. dzięki Akademii Nauk został amnestionowany i zaproszony do Petersburga. Jadąc syberyjskim szlakiem pocztowym po drodze robił badania geologiczne. Chory i na wpół sparaliżowany w czasie podróży, klasyfikował kamienie i próbki gleby, które przynosiła mu żona. Dzięki swojej pasji stworzył mapę geologiczną trasy Irkuck – Petersburg z zajazdami do progów paduńskich Angary i do Minusińska.

W Petersburgu znalazł zatrudnienie jako paleontolog w Akademii Nauk. Odbył roczną wyprawę (1885–86) na Wyspy Nowosyberyjskie przy Morzu Łaptiewów (na 76. równoleżniku). Plonem wyprawy stała się praca dotycząca osteologii ssaków czwartorzędowych z tych wysp. Badacz napisał i wydał wielką monografię fauny kopalnej Syberii, posilując się własnymi materiałami i okazami z różnych muzeów Rosji. Przygotował też do druku swój dziennik podróży.



Jan Czerski w Muzeum Bajkalskim

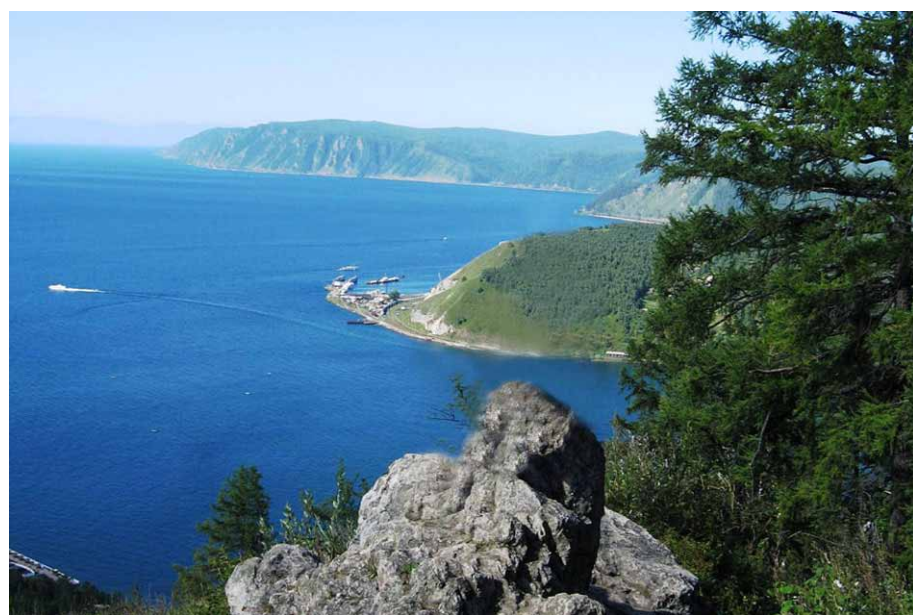
Gdy Akademia Nauk zdecydowała o wysłaniu wyprawy na północny wschód Syberii, Czerski podjął się poprowadzenia tej ekspedycji. Wraz z żoną Marfą i 12-letnim synem Aleksandrem oraz innymi badaczami wyjechał przez Moskwę, Omsk, Irkuck do Jakucka. Stąd członkowie wyprawy przez 76 dni jechali nad rzekę Kołymę na koniach i w zaprzęgach reniferowych, pokonując cztery łańcuchy górskie. W sierpniu 1891 r. wyprawa dotarła do Wierchniekołymska, by tu przezimować.

Zimą pogorszył się stan zdrowia Czerskiego, który chorował na serce i astmę. Mimo to zdecydowany był dokończyć wyprawę. Wiosną ekspedycja wypłynęła Kołymą w dół nurtu rzeki. Jan Czerski zmarł 7 lipca 1892 r. (25 czerwca według kalendarza juliańskiego). Po tygodniu żona i syn pochowali go 30 km niżej, u ujścia rzeki Omolon do Kołymy. Żona doprowadziła wyprawę do Niżniekołymska. Zebrane okazy przekazała Akademii Nauk w Petersburgu.

W miejscu, gdzie jest grób Czerskiego, po 1941 r. powstało osiedle Kołymskoje. Miejscowi Czukczowie zbudowali Czerskiemu grobowiec z drewna. Na monumencie są dwie tablice upamiętniające badacza i podróżnika, po rosyjsku i po polsku. W 2003 r. polska wyprawa przynosiła jeszcze jedną tablicę: *Wielkiemu polskiemu uczonemu Janowi Czerskiemu w 110. rocznicę śmierci –*

rodacy. Kierownik polskiej wyprawy Romuald Koperski pisał: Przy grobie Jana Czerskiego (...) zebrał się tłum ludzi. (...) Odślonięcie tablicy z Polski zmieniło się w wielkie święto. (...) Dopiero teraz do nas dotarło, że Czerski jest tu czczony niczym święty, a jego grób jest najważniejszym miejscem okolicy, swoistym miejscem kultu. Szamanki na jego grobie rozpałały ogień i zaklęciami przywoływały dobre duchy tundry. Dziś o polskim geologu i paleontologu miejscowi recytują dziękczynne wiersze i śpiewają piosenki.

Czerski napisał łącznie 97 prac naukowych. Na mapach Syberii pojawiło się wiele miejsc nazwanych jego imieniem. Najwyższe pasmo Syberii Wschodniej między Janą, Indygirką i Kołymą o długości 1500 km to Góry Czerskiego (najwyższy szczyt 3147 m n.p.m.). W Zabajkału koło Czyty jest Pasma Czerskiego długie na 800 km (najwyższy szczyt 2119 m). Na północ od Bajkału w Grzbiecie Bajkalskim jest Góra Czerskiego (2572 m). Na południe od jeziora w górach Chamar-Daban wznosi się Pik Czerskiego (2090 m). W pobliżu Listwianki, gdzie z Bajkału wypływa Angara, znajduje się niewysoki szczyt Kamień Czerskiego (728 m), na któ-



Widok z Kamienia Czerskiego na Bajkał

Góry Czerskiego

ry można dziś wjechać wyciągiem krzesełkowym. Czerski ma też swój wodospad na rzece Chorek w dorzeczu Angary i swój wygasły wulkan w Dolinie Tunkińskiej. Za kręgiem polarnym niedaleko ujścia Kołymy do Morza Wschodniosyberyjskiego powstało w 1931 r. osiedle typu miejskiego Czerski z własnym portem lotniczym i z muzeum poświęconym temu słynnemu badaczowi. Ulice Czerskiego są w Moskwie, Irkucku, Wilnie, Krzywym Rogu, Gliwicach, Malborku i Zielonej Górze.

Janusz Fuksa

Janusz Czerwiński (1936–2018)

30 listopada 2018 r. zmarł nagle Janusz Czerwiński, geograf i krajoznawca, wykładowca uniwersytecki, przewodnik sudecki i autor przewodników turystycznych, a dla przyjaciół – przez ponad pół wieku – niezapomniany towarzysz górskich wędrówek, wycieczek i kameralnych wrocławskich spotkań.



Janusz Czerwiński w 2008 r.

Urodził się 11 listopada 1936 r. we Lwowie, po wojnie trafił z rodzicami do Wrocławia, tu skończył słynne wówczas III LO i później studiował geografię na Uniwersytecie Wrocławskim. Po dyplomie (z kartografią) zmienił specjalizację wiążąc się z Zakładem Geomorfologii prof. Alfreda Jahna, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę. Po odejściu Profesora w 1994 r., jako jego najdłuższy stażem współpracownik, pełnił także obowiązki kierownika tego zakładu.

Choć „na co dzień” prace terenowe dotyczyły Karkonoszy i Gór Izerskich, to niedługo po studiach, w 1959 r. Janusz Czerwiński wziął udział w jednej z wrocławskich letnich wypraw na Spitsbergen (badania okolic lodowca Werenskiolda). *Nb.* „szpicbergeński” śpiwór z owej wyprawy bardzo się przydał mroźną zimą 1962 r., kiedy to na „Drodze Przyjaźni” nadgorliwy wopista zawrócił nas z nieprzedeptanego szlaku, musieliśmy nałożyć drogi, przed nocą nie dotarliśmy na Bażynowe Skały i w efekcie biwakowaliśmy w śniegu.

Wśród współpracowników i studentów (w ostatnich latach pracował również w Wyższej Szkole Bankowej) cieszył się szacunkiem i sympatią. Pewien były słuchacz tak napisał w Internecie: (...) miałem z JC wykłady na UW przez kilka lat (...), praktyki w górach, wycieczki, wiele innych spotkań,

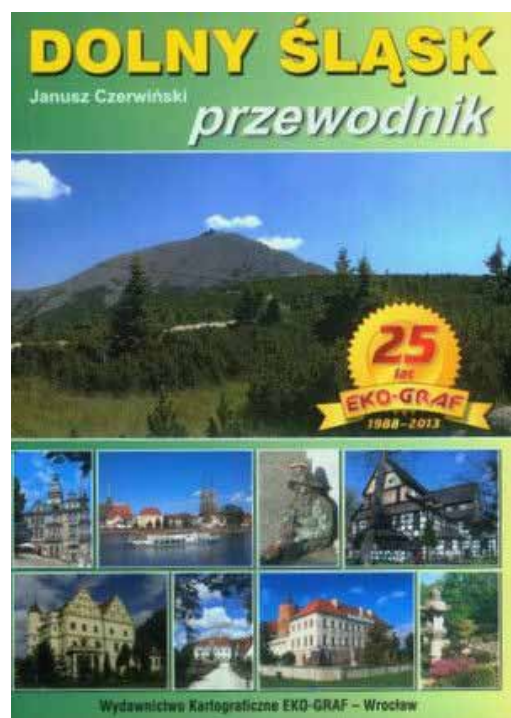
w tym zawodowych (...), odszedł wspaniały, ciepły, nietuzinkowy Człowiek, o niesamowitej wiedzy.

Tą wiedzą potrafił dzielić się nie tylko w bezpośrednich spotkaniach, ale również w bardzo licznych publikacjach popularnych i przewodnikach turystycznych wydawanych już od lat 60. Pionierskie były „Okolice Wrocławia” (wspólnie z Ryszardem Chanasem, 1966) – pierwszy w ogóle przewodnik w języku polskim dotyczący tego obszaru. Do ważnych i prestiżowych pozycji należał wydany w 1983 r. w „szarej” serii przewodnikowej wydawnictwa „Sport i Turystyka” obszerny tom „Sudety. Sudety Zachodnie” (współautor Krzysztof R. Mazurski). Janusz Czerwiński miał też swój udział w zespole autorskim monumentalnego, 21-tomowego „Słownika geografii turystycznej Sudetów” pod redakcją Marka Staffy, wydawanego sukcesywnie w latach 1989–2008. Zwieńczeniem tej wieloletniej żmudnej pracy, wymagającej ciągłej aktualizacji danych, weryfikacji setek faktów i dat, gromadzenia przyczynków z najróżniejszych dziedzin, jest wydany wiosną 2018 roku blisko 600-stronicowy przewodnik „Sudety” obejmujący po raz pierwszy polską, czeską i niemiecką część tych gór. Ten tom kończy swoistą trylogię: „Dolny Śląsk” (2009), „Wrocław” (2010), „Sudety” (2018) – wszystkie trzy podobnie obszerne, bogato ilustrowane, w starannej oprawie edytorskiej wydawnictwa EKO-GRAF.

Umiłowanie gór, w połączeniu z pasją społecznikowską Janusza, przejawiało się w działalności organizacyjnej, w ruchu studenckim przeżywającym po „odwilży październikowej” 1956 roku swój najlepszy okres. W 1957 r. powstaje we Wrocławiu pierwszy w Polsce Akademicki Klub Turystyczny, a w kilkuosobowej grupie inicjatywnej jest też J. Czerwiński. Jesienią 1958 r. pisze w imieniu Klubu list do nestora polskiej turystyki

Mieczysława Orłowicza, byłego prezesa AKT we Lwowie, używając od niego zachętę i wskazówki organizacyjne. W kadencji 1962/63 jest prezesem Klubu i przez następne lata aktywnym jego uczestnikiem – ze wszystkich „ojców założycieli” chyba najdłużej z nim związanym, o czym świadczy np. ponowna prezesura w kadencji 1966/67. Między innymi dzięki Jego staraniom, wiosną 1959 r. Nadleśnictwo w Podgórzynie przekazało opuszczoną chatkę na Hutniczym Grzbiecie wrocławskiemu Klubowi, który korzystał z niej jako punktu etapowego studenckich obozów wędrkowych. To dlatego od lat 60. do dziś na kolejnych wydaniach map Karkonoszy chatka jest opisywana jako «Chatka AKT». Janusz był też *spiritus movens* wydzierżawienia od KPN stojącego przy drodze z Polany do Samotni dawnego domku myśliwskiego hrabiego von Schaffgotscha. W 1963 r., po początkowo amatorskiej rewitalizacji siłami przewodników AKT, powstało w nim pierwsze w Sudetach schronisko studenckie „Domek Myśliwski”. Kontakty nawiązane z KPN stały się później bardziej zinstytucjonalizowane: Janusz Czerwiński był wieloletnim członkiem Rady Naukowej Karkonoskiego Parku Narodowego, a w trwającej obecnie kadencji (2015–2019) jej Członkiem Honorowym. Jak powiedział przedstawiciel Parku w czasie tłumnego pogrzebu na Cmentarzu Grabiszyńskim: *Odszedł nasz Nauczyciel, człowiek inspirujący nas do poznawania Karkonoszy i Dolnego Śląska, popularyzator turystyki, dzielący się swoją ogromną wiedzą i doświadczeniem z kilkoma pokoleniami pracowników Parku, przewodnikami turystycznymi, pasjonatami turystyki górskiej.*

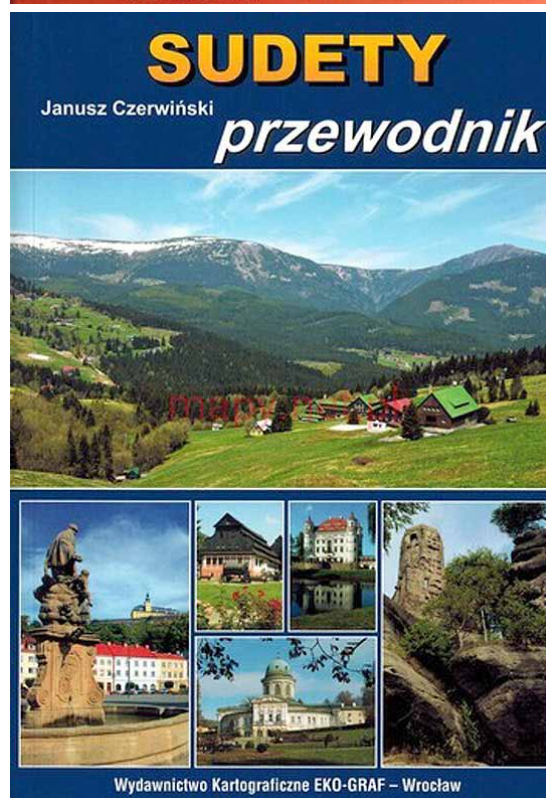
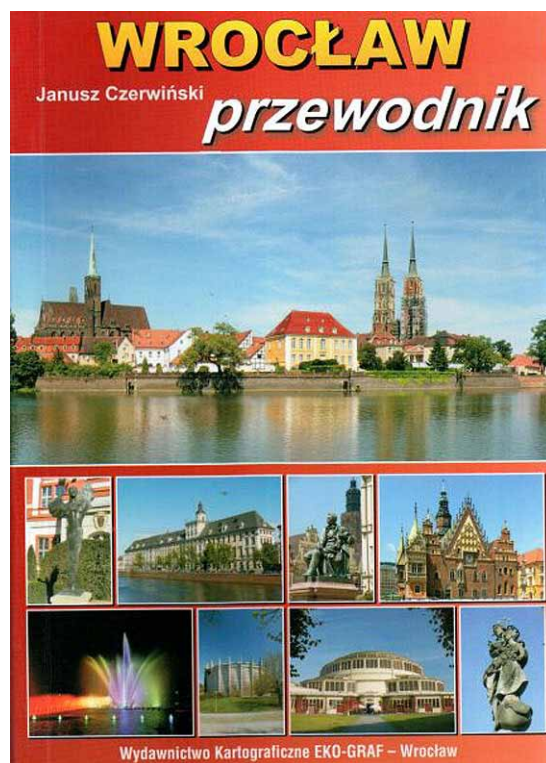
Kontakty z KPN zaowocowały też dostępem do wówczas nowo zbudowanej chatki u wylotu Wielkiego Śnieżnego Kotła, nazwanej później „Chatką Wielkanocną”. Ta nazwa powstała po przygodzie trzech „odkrywców”, którzy pod przewodnictwem Janusza, spędzili w niej Wielkanoc 1967 r. w spartańskich warunkach. Później bywaliśmy tam wielokrotnie doprowadzając ją do stanu używalności i wyposażając własnym sumptem w niezbędny sprzęt.



W III RP J. Czerwiński powrócił do miasta swojego dzieciństwa, powrócił na swój sposób – przygotowując (znów w tandemie z R. Chanasem) pierwszy powojenny polski przewodnik po Lwowie (wyd. Ossolineum, 1992) i później znacznie rozszerzony – „Lwów i okolice” (1999).

W ostatnich latach zmienił kierunek swoich podróży kilkakrotnie odwiedzając, wraz z żoną, wnuczki dorastające w słonecznej Kalifornii, a przy okazji zwiedzając fascynujące miejsca Nowego Świata. Tym ukochanym wnuczkom planował też zawsze pobyty w Polsce tak, by w czasie wakacji mogły jak najlepiej poznać swoją Ojczyznę. Jeszcze w listopadzie obmyślał dla nich atrakcje na nadchodzące lato 2019 roku...

Witold Komorowski



Szczawnica na starych fotografiach i rycinach

Uzdrowisko w Szczawnicy ma ostatnio dobrą passę, przynajmniej na polu wydawniczym. Wcześniej ukazała się publikacja „Szczawnica. Podróż do kurortu w XIX wieku i dzisiaj” Barbary Aliny Węglarz. Wydany obecnie album tej samej autorki, o zbliżonej tematyce tudzież szacie graficznej, jest pełen dawnych fotografii i rycin o walorach historycznych i kulturowych.

Każdy rozdział poprzedza tekst, bardzo dobrze wprowadzający w tematykę, praktycznie kwalifikujący się do gatunku eseju naukowego i publicystycznego, w którym Autorka rozstrząsa problem, interpretuje zjawisko, nie kryjąc swojego subiektywnego spojrzenia. Na taką syntezę można sobie pozwolić znając bardzo dobrze problematykę i tak faktycznie jest. Pod każdą fotografią i ryciną znajduje się dokładny opis, który współgra z wprowadzeniem do rozdziału. Dobrze przemyślane.

Książka-album rozpoczyna się historycznym deptakiem, a kończy współczesną promenadą, okolona jakby kłamrą. Cel zamierzony, bo zarówno deptak, jak i promenada są miejscem tętniącym życiem, sercem uzdrowiska, gdzie spotykają się kuracjusze, letnicy i jego stali mieszkańcy.

W kolejnych rozdziałach Autorka przybliży obraz gości przyjeżdżających do uzdrowiska, opisuje ich eskapady w Pieniny i okolicę. Mówi o mieszkańcach – góralach, strojach wyróżniających ich od sąsiadów, o chałupach, w których mieszkali i o tym, czym się zajmowali na gospodarce. Opowiada o wyróżniających się jednostkach, które zapisały się w miejscowej tradycji, jak sołtys Salamon, cieszący się niezwykłym mirem.

Jakże ważny jest rozdział poświęcony góralom walczącym o Niepodległą – Jaśkowi Malinowskiemu werbującemu do polskiego wojska, utworzeniu oddziału, z czasem przekształconego w Polską Drużynę Strzelecką, szkoleniu jego członków. Dowiadujemy się, że na ogłoszoną przez Józefa Piłsudskiego koncentrację oddziałów strzeleckich w krakowskich Oleandrach, z terenu Pienin wyszły trzy kompanie marszowe, ponad sto osób.

Dużo miejsca poświęciła Autorka gościom kąpielowym przybywającym do Szczawnicy. Specjalnie powracam do tego rozdziału, bo to kuracjusze byli solą uzdrowiska. Przyjeżdżali szukając pomocy w podreperowaniu zdrowia tudzież w celach towarzyskich. Dla nich szykowano kwatery, lekarze przepisywali kuracje, przygotowywano strawę duchową – była muzyka, występowały grupy teatralne, urządzano bale, a wszystko regulował kodeks zdrojowy. Warto rozczytać się w tym rozdziale, zapoznać ze zdrojowym *savoir vivre*. Do Szczawnicy przyjeżdżała arystokracja, przedstawiciele świata nauki, kultury, hierarchowie kościoła, ale i rabini, cadykowie z całymi dworami.

Zasób zdjęć i rycin jest dobrany ze znanostwem, to one obok tekstu rzutują na poziom albumu, który oceniać należy wysoko. Wydawcą jest Miasto i Gmina Szczawnica, środki na jego wydanie pozyskano z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego Unii Europejskiej oraz, za pośrednictwem Euroregionu „Tatry”, z budżetu państwa w ramach polsko-słowackiego Programu Współpracy Transgranicznej Interreg. Album został wydany starannie, gustownie, w twardej oprawie, przydatne abstrakty przygotowano w językach słowackim, angielskim i niemieckim.

Ryszard M. Remiszewski

Barbara Alina Węglarz, „Na szczawnickim deptaku”, Miasto i Gmina Szczawnica, 2018, s. 120

Po co komu taka mapa?

Co to jest mapa? To jest obraz graficzny terenu, który... A w istocie rzeczy – dla turysty i krajoznawcy jest to podręcznik, niezbędnik, pomocnik w wędrówce, z którego można się dowiedzieć, którądy trzeba iść tam, dokąd chcemy trafić. Taaaaak, mapa to potęga... Bywa, że kto mapy nie studiuje, ten w domu nie nocuje...

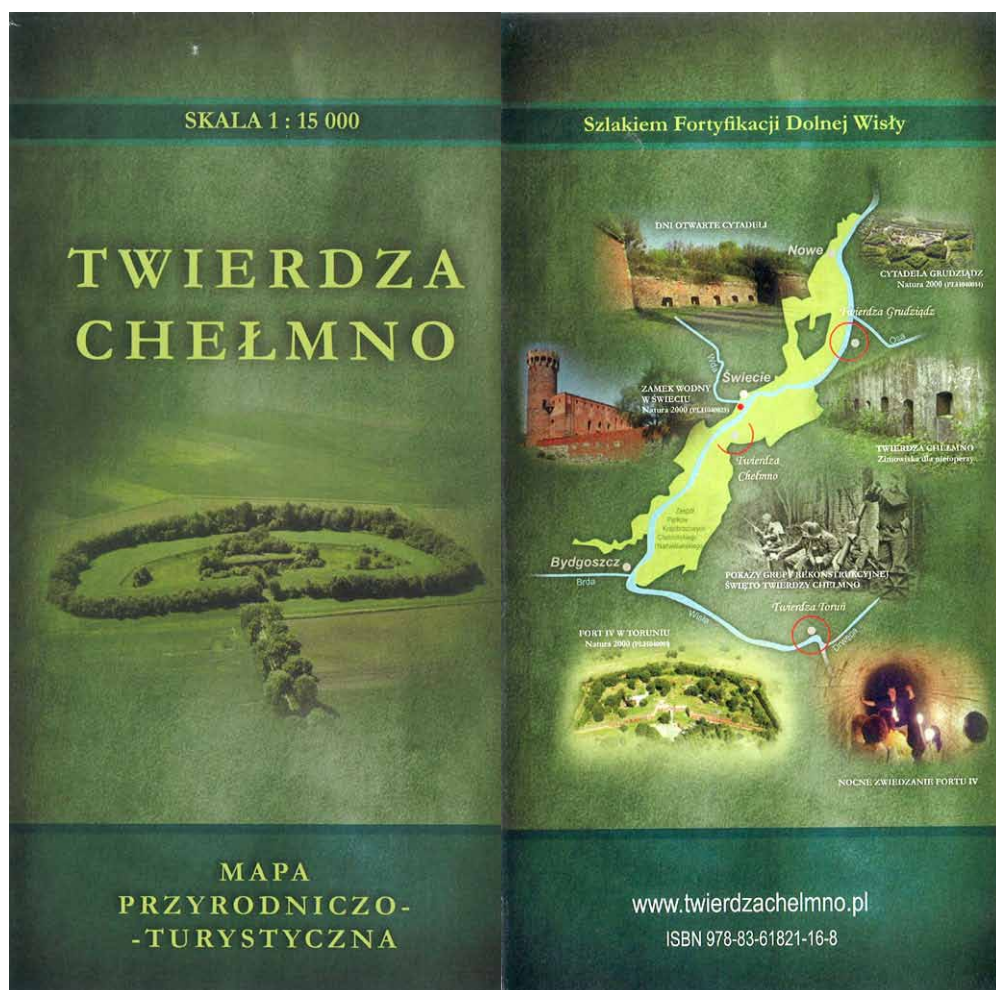
Więc bierzemy do ręki mapę „**Twierdza Chełmno**” i niewiele brakuje, abyśmy doszli do celu. Jest to miejsce w okolicy niezwyklej, a „mapa przyrodniczo-turystyczna” to swoisty podręcznik dla każdego, kto wybrał się w teren, aby poznać osobliwości okolic Świecia, Nowego, Starogrodu, Stolna, Chełmna, czyli rejonów w granicach Zespołu Parków Krajobrazowych Chełmińskiego i Nadwiślańskiego.

Zapewniam, że warto je poznać przy okazji jakiejś wycieczki pieszej, rowerowej, a nawet na nartach śladowych, w praktyce – wędrowania w czasie każdej z czterech pór roku.

Rzucają się w oczy rozmiary arkusza mapy – 98 x 54 cm. Nawet po... sześciokrotnym złożeniu wszędy i trzykrotnym wzdłuż, całość jest bardzo nieporęczna dla turysty i krajoznawcy przy czytaniu samej mapy i materiału pomocniczego, czyli szczegółowych informacji na odwrocie. Wyobraźmy sobie konieczne często w terenie rozłożenie całego arkusza!!! Zwłaszcza przy pogodzie wietrznej i deszczowej!!! Więc istotnie, taki format to... kartograficzna – dosłownie – potęga!!! Jeszcze mniej typowa jest skala tej olbrzymiej mapy 1:15000. Ukazuje ona teren od Nowego na północy po Bydgoszcz na południu, czyli obszar w granicach zespołu obydwu parków krajobrazowych w Dolinie Dolnej Wisły.

Podtytuł takiego obrazu okolic Twierdzy Chełmno brzmi „Mapa przyrodniczo-turystyczna”. Owszem, wydawnictwo w takiej formie ułatwia wędrówkę po tych malowniczych i bogatych w obiekty krajoznawcze rejonach, ale tylko... palcem po mapie rozłożonej. Podczas wycieczki w terenie korzystanie z tej mapy może być tak trudne – zarówno dla wędrującego pieszo, jak i rowerzysty – że aż wyklucza jej przydatność. Jak w śpiewce: *Pieniążki kto ma, to jedzie do Wieliczki, a kto ich nie ma, to palcem do... solniczki*. W tym przypadku po prostu palcem po mapie, ale trzeba mieć duży zasięg ramion...

Natomiast na podkreślenie, uwagę i uznanie zasługuje część informacyjno-krajoznawcza na tylnej stronie arkusza. Jest to ogromna ilość tekstu podzielonego na rozdziały, jak w przewodniku w formie książki. Zaczyna się od historii budowy twierdzy, a kończy na poradach praktycznych dla zwiedzających. Jest też rozdział zachęcający do zdobywania odznaki krajoznawczej „Miłośnik Twierdzy Chełmno”, prezentujący tradycyjne obrazkami trójstopniowej odznaki oraz stopnia „Za Wytrwałość”. Szczegółowy opis ośmiu obiektów twierdzy chełmińskiej wzbogacony jest rysunkami typów fortów, schronów i stanowisk baterii artyleryjskich. Miłośnicy turystyki przyrodniczej znajdą informację o wielu okazach zwierząt i roślin chronionych oraz



charakterystycznych krajobrazach – np. schronach amunicyjnych wśród pól uprawnych, w lasach, nad Wisłą, jeziorami, polnymi oczkami wodnymi, a także śladach starych przepraw.

Mapa jest adresowana do amatorów poznania Szlaku Fortyfikacji Dolnej Wisły. Ponadto specjaliści z Zespołu Parków Krajobrazowych Chełmińskiego i Nadwiślańskiego opracowali ciekawe obiekty i zjawiska przyrodnicze (m.in. stanowiska kilku chronionych gatunków nietoperzy i motyli w kilku budowlach tworzących system twierdzy).

Mapa może być także pomocna w planowaniu wycieczek o tematyce militarnej, m.in. do fortu w Toruniu czy Twierdzy Chełmno, na Dni Otwarte Cytadeli w Grudziądzu, a także na nocne zwiedzanie Fortu IV i obserwowanie pokazów grupy rekonstrukcyjnej podczas Święta Twierdzy Chełmno. Dowiadujemy się, że Koło Przewodników PTTK w Chełmnie proponuje cykl wycieczek krajoznawczych, pieszych i rowerowych pod hasłem «Szlakiem Fortyfikacji Dolnej Wisły».

Moim subiektywnym zdaniem, trud wydania tej mapy to typowa „para w gwizdek” zasłużonego skądinąd w pomaganiu turystom i krajoznawcom Wydawnictwa.

Tomasz Kowalik

„Twierdza Chełmno. Mapa przyrodniczo-turystyczna. Szlakiem Fortyfikacji Doliny Dolnej Wisły”, red. Piotr Kisielewski, skala 1:15000, Wydawnictwo Compass, Kraków 2017, wydanie I



Zaśpiewaj sobie na ławeczce

...czyli kolejny przykład, jak wydać bez sensu nasze pieniądze. W wielu miejscach – wtajemniczeni twierdzą, że w ponad STU CZTERDZIESTU – w naszym pięknym kraju umiejscowiono ławeczki, złośliwie nazywane trumnami, a bardziej pieszczotliwie – lodówkami.

Nazwa „ławeczka” ma się nijak do kształtu tej budowli? (urządzenia?, pomnika?). Kto bowiem spróbował na niej usiąść, doznawał: po pierwsze – dotkliwego chłodu od materiału budowli podczas słuchania pieśni patriotycznej dochodzącej z jej wnętrza; po drugie – niewygody z powodu prymitywnego kształtu siedziska; po trzecie – konieczności słuchania starych pieśni tzw. patriotycznych.

Ogólny i oficjalny koszt zbudowania „ławeczek” to kwota 4,2 mln złotych, z czego tylko część (podobno 20 procent?) pochodziła od resortu obrony narodowej, a pozostałe konieczne koszty plus znalezienie miejsca, ciążyły na lokalnych samorządach, czyli w istocie na gminach. Chciał nie chciał, „dali prikaz”, to mają teraz ławeczki do obśmiania i w znacznej liczbie przypadków – omijania ich szerokim łukiem. Mało kto ma ochotę do chłodzenia sobie... tyłka na betonie z muzyką w środku.

Jak donosi lokalna prasa („Przegląd Piaseczyński” nr 224 /7/ z 9 stycznia 2019 r.) – podstołeczna gmina Lesznów dołożyła do tego „patriotycznego interesu” około 10 tys. złotych. Mało tego, we wnętrzu ławeczki-pomnika „siedzi” głos kombatanta. Ale gmina ma zamiar jeszcze w styczniu pójść dalej – zorganizuje własnym kosztem *uroczystą inaugurację działania ławeczki z udziałem kombatanów...*

Tym prostym sposobem (bo ławeczka jest... prosta w kształcie, by nie powiedzieć prostacka albo kancista, niewygodna od projektu do realizacji), zamiast uczyć historii, śpiewu, czy nawet geografii tam, gdzie w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem powinien się taki proces odbywać – wywalono dużo publicznych złotych na kuriozalne wcielenie marzeń ministerialnych o powszechnej znajomości pieśni patriotycznych. A zamiar był istotnie osobliwy – ławeczka ma NAUCZAĆ TEGO I O TYM, CO W NASZEJ HISTORII WAŻNE BYŁO, JEST I TAKIE POZOSTANIE.

Nie mogę ukryć, że dożyłem tzw. słusznego wieku. Pieśni patriotycznych uczyłem się w drużynie harcerskiej, na biwakach, wycieczkach, przy ogniskach (siedziało się wtedy na gołej ziemi, rzadziej na kocu lub pniaku-klocu dorodnego drzewa), w lesie, na polanie, nad jeziorem... Taką drogą patriotyzm i stosowne pieśni oraz obrzędy „same wchodziły do głowy”, bo dawno temu ktoś wymyślił taki skuteczny sposób wychowania patriotycznego.

W związku z tym jawi mi się wspomnienie licznych, różnych, w wielu miejscach użytkowanych przeze mnie ławeczek. Za każdym razem cel tego użytkowania był jak najbardziej... patriotyczny. W tamtych latach oznaką emocjonalnej wzniosłości było – to chyba ciągle jeszcze jest oczywiste – obściskanie i badanie walorów urody oraz kształtu wielu części ciał, zawsze interesujących, bliższych lub dalszych znajomych dziewczyn, także harcerek. Jak wiadomo... krew nie woda, a – jak mawia znajomy góral – majtki nie pokrzywy.

Zatem wielokrotnie odnosiłem sukcesy ku obopólnemu (choć czasem z pewnymi oporami) zadowoleniu, o czym dziś, po wielu latach, mogę z satysfakcją wspominać. Czyli o całkiem słodkich grzechach młodości górnej i durnej. Przypominam sobie, jako wieloletni stypendysta ZUS-u, że tych ławeczek „zaliczyłem” co najmniej kilkanaście i z wielkim żalem stwierdzam po latach, że żadna z nich nie wydawała ze swego wnętrza jakichś piosenek, a już na pewno patriotycznych. To z reguły były bardzo solidne ławki, nawet nie skrzypiały!!!

Aż mi się robi stokrotnie żal, że do nauki polskiego patriotyzmu konieczne było ustawienie tych ławek z betonu. Na starych modelach parkowych ławek, zazwyczaj drewnianych, nauka szła mi całkiem owocnie, mimo że po cichu i z dala od wścibskich. A jakże – udało mi się nawet założyć rodzinę i trwać w takim układzie cywilno-prawnym prawie pół wieku.

Jako osobnik znający i często śpiewający patriotyczne piosenki mogę się pochwalić niejakimi sukcesami, czyli przede wszystkim faktem, że gdy śpiewałem, postronni słuchacze nie odwracali się, nie zatykali uszu, a bywało – bili brawo.

W razie konieczności udowodnienia, że „jeszcze mogę” zapewniam, jak w kabarecie Tey pani Pełagia, producentka bombek choinkowych (zarabiała pięć złotych od sztuki), która na pytanie *Czy pani jeszcze może...?* odpowiedziała: *No pewnie!...* I było bardzo wesoło. Szkoda, że nie ma już tego kabaretu i jego wykonawców, zwłaszcza tej pani i pana Zenka.

Ja jeszcze mogę, ale tylko zrobić przyjemność, na pewno nie zrobię krzywdy. A to w mojej skali wrażliwości estetycznej i patriotycznej bardzo ważne – nie robić krzywdy komukolwiek i w żaden sposób. a zwłaszcza na „ławeczce patriotycznej”. BETONOWA ŁAWECZKA I POMYSŁ TAKŻE Z TYCH TWARDYCH...

Tomasz Kowalik

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wystouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



ISSN 1230-9931

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.